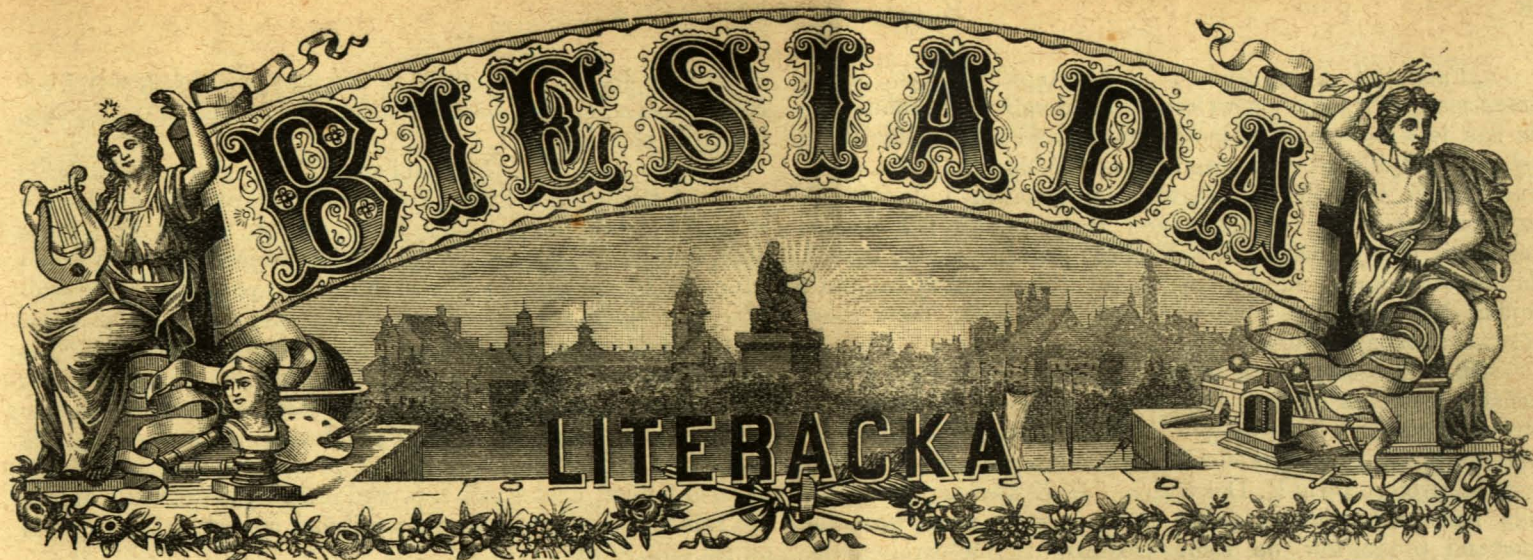




LITERATURA, SZTUKA, KRYTYKA, WYCHOWANIE, GOSPODARSTWO, PRZEMYSŁ, SPRAWY BIEŻĄCE, POLITYKA.

Nr 7—581.

Redakcja: Chmielna, № 26.

Warszawa, 18 lutego 1887 r.

6 lutego 1887 r.

Tom XXIII.

Z WARSZAWY.

Samodzielność nasza wobec Europy. — Pamiętnik Fyzyograficzny. — Wydawcy i współpracownicy. — Co w nim jest ciekawego. — Plotki o królu zakopańskim. — Modrzejewska i jej dworek nad Dunajcem. — Rozumowania p. A. B. C. — Nie dosyć jest czcić i nosić na rękach. — Odczyty w Muzeum. — Elektryczność. — Nowy przytułek dla starców. — Teatrzyk dobroczynności i hr. W. Walewski. — Półmisek z napisem „zjedli ubodzy”. — Nordenskjöld w Warszawie. — Jak on wygląda? — W pustelni nad Świdrem. — Kościół w Karczewie. — Oltarz św. Łukasza. — Dwa grzyby szczerzłote.

Już się nie lękam Europy. Każdemu cudzoziemcowi na pytanie: cóż wy macie swego? odpowiedzieć mogę bez wykre-

tów — mamy rzecz piękną i pożyteczną. Niemcy posiadają karabin karnawałowy, Francya armaty welocypedowe, Anglia funty szterlingi, Belgia anarchistów, Włochy nową operę Verdi'ego... a my mamy szósty tom „Pamiętnika fyzyograficznego”.

Wygląda to na gaskonadę kłaść jedną książkę na szali z tém, co stanowi potęgę lub sławę narodów, ale lepiej przesa-
dzić niż obojętném słowem zbyć pojawienie się dzieła nauko-
wego, które mówi o rozumie i obywatelstwie naszych przyrodni-
ków a zarazem o ich wytrwałości. Dla kogoś co się uganiał
po morzu za wielorybami, rybołówstwo w stawie będzie igraszką,
ale dla nas igraszka ta ma fyzygnomią bardzo poważną.

Przy rogatce warszawskiej.

Rysunek A. Cierniewskiego.



Wieżniak. — A będzie też kiedy koniec temu kopytkowemu?

Poborca. — To nie wiecie jak się go pozbyć?

Wieżniak. — A doradźcie, paunie komisarzu!

Poborca. — Sprawcie sobie balon i dalej jazda nad rogatką.

rywa za sobą słuchaczy. Wrażenie jakie wywiera zazwyczaj jest ogromne, a trud poniesiony w tym celu podnosi znaczenie jego. W takich chwilach kanclerz wyraża się w sposób, którego nie tolerowaliby w żadnym innym parlamencie, a zachowaniem swoim pełnym zuchwalstwa i arogancji, podkreśla niejako ostry dobór słów dosadnych i obelżywych. I tak na przykład, kiedy postawił parlament w alternatywie rozwiązania takowego lub przyjęcia prawa wojskowego siedmioletniego, ani Kromwel w parlamencie Croupion, ani Ludwik XIV na zebraniu członków Izby — nie zachowywali się zuchwalej od niemieckiego kanclerza.

— Nie, panowie — ośmielił się raz powiedzieć deputatowi, który zapytywał go, dlaczego rząd nie rozwiązuje Izby, kiedy niezadowolonym jest z jej głosowania — nie, panowie, chcemy dać krajowi czas przekonać się czem są jego przedstawiciele, aby na następny raz lepszy wybór zrobił.

Innym razem rzekł do delegacji, której przewodniczący zmieszał się na jego widok i wyraził zdziwienie, iż w obecności tak wielkiego człowieka można się wyrwać z jaką niedorzecznością:

— Widać, że pan nie jesteś członkiem parlamentu.

Inni dyktatorowie nie trzymali może lepij o zgromadzeniach prawodawczych, ale żaden pogardy swęj nie wyjawiał tak otwarcie.

W dodatku należy nadmienić, iż zuchwalstwo jest pancerzem, w który Bismark uzbraja się wtedy tylko, gdy przychodzi mu stoczyć walkę parlamentarną. W prywatnym życiu jest on ugrzecznionym i pełnym uprzejmości. Aktor berliński Helmerding, opisuje w następny sposób przykład ujmującej jego dobroduszości.

„Czy chcecie wiedzieć, jakim sposobem zrobiłem znajomość z księciem Bismarkiem? Było to 1863 r., w epoce sławnego sporu konstytucyjnego. Posiedzenie w parlamencie było burzliwem; deputat z lewicy unosił się, urągając niepopularnemu ministrowi, gdy Bismark otwierając niespodzianie drzwi prywatnego swego gabinetu, do którego się był schronił, stanął na chwilę w progu sali i odezwał się głosem donośnym a pogardliwym: — Szanowny mówca może oszczędzić sobie niepotrzebnego trudu krzyczenia tak głośno. Słyszemy dobrze ztąd!

Nazajutrz po tém zdarzeniu, które zajęło całą prasę, grałem w komedii przeplatanej satyrycznymi epigramatami, które nie oszczędzały ministerstwa. Wszystkie aż do zbytku jawne przycinki wesoło przyjęte zostały przez publiczność, a gdy spuuszczono kurtynę, grzmoty oklasków wybuchały w całej sali. Na to, pojawiam się na scenie i mówię:

— Proszę nie zadawać sobie niepotrzebnego trudu robiąc tyle hałasu. Słyszemy dobrze ztąd!

Dowcip ten tak się podobał, że obiegł całe miasto. Książę ubawił się nim i raczył przyjść osobiście za niego podziękować. Odtąd nie omieszkiał nigdy przysłać mi karty z powinszowaniem Nowego roku i przychodził bić brawo gdy występowałem na scenie.

Pewnego razu zaprosił mię do siebie na obiad. Skwapliwie skorzystałem z łaski, lecz udając się do pałacu, zaniepokojony byłem wiadomością, iż tego dnia spodziewanym był przyjazd cesarza austriackiego. Istotnie nie zastałem kanclerza w domu, ale rodzina jego przyjęła mię jaknajuprzejmiej, a w chwili gdy mieliśmy siadać do stołu, książę nadszedł. Obiad przeszedł nadzwyczaj wesoło. Podczas deseru księżna osobiście przyniosła mężowi dużą porcelanową fajkę, którą palił gawędząc ze mną. Potem rzekł: Kochany panie Helmerding, wybac mi ale muszę iść przyjmować cesarza na stacyi.

Nie jest-że to idylla, na tle której Bismark wygląda jak lew z obciętą grzywą i oczami mrużącymi się do drzemki.

F. D.

CHCESZ SŁUŻYĆ BOGU, CZY MAMONIE?

Jesteśmy we Florencji na schyłku XV wieku. Savonarola stoi u szczytn swęj przemijającej potęgi; zajęty sprawami zaprowadzonego przez siebie teokratyczno-republikańskiego rządu, nie przestaje grzmieć z kazalnicy przeciwko zbytkom i marnościom tego świata. Kobiety florenckie, porwane czarem ognistej wymowy, której nie oprzeć się nie mogło, zrzucają

z siebie wszystkie błyskotki swego stroju, w których dotąd tak się kochały; po ulicach i placach publicznych, u stóp kaznodziei piętrzą się stopy złocistych pasów i maneli drogiemi sadzonych kamieniami, kosztownych zausznic i bind perłowych. Każda, której płomienne słowa wielkiego mówcy wpadły do ucha a przez ucho do duszy, staje się nietylko gorącą jego zwolenniczką, ale gorliwą jego nauk apostołką.

Oto jedna z nich właśnie przy pracy apostołskiej: sama w ciemnej szacie, bez żadnej ozdoby kosztowniejszej, z włosami rozpuszczonemi, ujętemi prostą wstążką czy tasiemką, z prostym krzyżykiem na piersiach a z książką do nabożeństwa na kolanach, nawraca młodszą snąc od siebie, piękną a strojną przyjaciółkę. Młode dziewczę bierny już tylko stawia opór: żal jej rozstać się z jasnymi szatami i z jasną myślą uciechy, wesela; żal porzucić te stroje, te perły i brylanty, w których jej tak ładnie, i w których spodobała się... jemu. Ale apostołka nie ustaje, coraz nowemi argumentami uderza w młode serduszko przyjaciółki: — „Powiedz, powiedz! — woła — Bogu chcesz służyć, czy mamonie?...”

Ostatnia to chwila wahania. Niebawem ten pas złocisty i te perły z pięknej główki, i wiele, wiele innych kosztowności, pójdą między te, co się walają po ulicy: Savonarola zyska jedną więcę akolytkę...

KOLÉJ ŻELAZNA NAPOWIELTRZNA.

Żywotną kwestją dla mieszkańców wielkich miast jest możność szybkiego przenoszenia się z jednego punktu miasta na drugi; szybkość tramwajów nie wystarcza już dla ich gorączkowej działalności. Chcąc uzyskać zwiększenie szybkości, trzeba było pobrać koleje żelazne; ale ten środek lokomocyi bardzo niedokładnie odpowiada pożądanemu rezultatowi. Paryż i Bruksella posiadają jedynie koléj obwodową; w Londynie drogi żelazne, które pochłoneły ogromne kapitały, są podziemne i nie zastępują bynajmniej obsługi tramwajów i omnibusów; w Berlinie koleje żelazne miejskie stanowią odnogę kolei krajowych a ich budowę kierowały po większej części względy czysto strategiczne. Drogi żelazne w Nowym Yorku są już daleko dogodniejsze: zbudowane w pośrodku ulic, jak gdzieindziej tramwaje parowe, kosztowały stosunkowo niewiele, gdyż za grunt pod nie płacić nie trzeba było; zato tamują niekiedy ruch, a raczej ruch uliczny tamuje niekiedy ruch pociągów.

Wszystkie te niedogodności stały się od jakiegoś czasu pobudką do nowych studyów inżynierom.

I tym razem znów młoda Ameryka dała nam przykład nowego wynalazku, który prawdopodobnie ma wielką przyszłość przed sobą. Nowy system budowy i lokomocyi, pomysłu inżyniera Meigs, uzyskał aprobatę sławnego instytutu Franklina w Filadelfii. Boston, gdzie się urodził wynalazca, ujrzy niebawem koléj żelazną napowietrzną, łączącą z sobą główne punkta miasta. Lepiej niż wszelkie objaśnienia rycina nasza uwydatnia korzyści, jakie przedstawia budowa téj drogi. Słupy zajmują na ulicach i placach publicznych niemal tyle miejsca, co szereg słupów telegraficznych.

Inżynier Meigs nadał wagonom i lokomotywie kształt cylindrowy, jako najmniej oporu stawiający powietrzu.

System lokomocyi jest niezmiernie dowcipny. Droga składa się z dwóch torów, położonych jeden nad drugim, z których niższy jest podwójny; po nim toczą się koła, mocno pochylone ku wnętrzu wagonów, a niektóre ku lokomotywie. Oprócz tego lokomotywa, w połowie wysokości, zaopatrzona jest w inne koła, które nadają ruch pociągowi wskutek nacisku na tor górny. Gdzie spadek jest znaczny, tam szyna toru górnego jest zębata, jak na niektórych kolejach żelaznych w Alpach; koła, których nie widać na naszej rycinie, cisną na nią i służą za hamulce.

Przy pociągu Meigs'a wykolejenie jest niemożliwe, a krzywizny nawet najsilniejsze nie przedstawiają niebezpieczeństwa.

RAPTULARZ TYGODNIOWY.

Z uniwersytetu. W niedzielę, o godzinie 1-jej w południe, w wielkiej sali aktowej uniwersytetu warszawskiego odbyła się uroczystość poświęcona pamięci poety Puszkina, obchodzona, jak zaznaczył rektor uniwersytetu p. Ławrowskij, w swojej mowie wstępnej, z rozporządzenia p. Ministra oświecenia. Następnie rektor mówca streścił życie poety i wspominał o ważnym, świeżo odkrytym przyczynku do biografii Puszkina, a mianowicie o liście ministra hr. Nesselrodego, dotyczącym epoki, którą poeta przepędził na wygnaniu. Prof. Smirnow mówił o Puszkynie, jako poecie i myślicielu społecznym. Ostatni zabrał głos prof. Budiłowicz i mówiąc o znaczeniu Puszkina w ważniejszych językach literackich, wyraził zdanie, że trwałość języka zależy od ilości ludu, który nim mówi i przetrzeniu kraju przez tenże lud zamieszkałej. Te warunki trwałości, zdaniem mówcy, posiadają języki: rosyjski, niemiecki, francuzki, angielski, włoski, hiszpański i portugalski. Mówca wyraził nadzieję, że z czasem język rosyjski stanie się językiem wszechsłowiańskim a nawet zastąpi język nowo-grecki. Uroczystość zakończyła się odśpiewaniem hymnu „Boże Cesarza chroń!”

Konkurs. P. L. Szyller-Racki, autor kilku powiastek dla ludu, napisanych z talentem i ząną tendencją, złożył redakcyi „Przeglądu pedagogicznego” fundusz na nagrody konkursowe, za najlepszą powiastkę dla dzieci od lat 9 ciu do 12-tu, i za grę towarzyską, z wyjątkiem gry w kości, domina i loteryjki.—Rs. 100 otrzyma autor powiastki najlepszej; rs. 60 autor projektu gry bez rysunków a rs. 100 z rysunkami. Termin nadsyłania powiastek jest do 1 sierpnia r. b.; gry towarzyskiej do 15 maja r. b.—Konkurs ten zalecamy naszym czytelnikom, pomiędzy którymi mamy najwięcej miłośników życia rodzinnego, a więc dbałych o ukształcenie i rozrywkę dzieci. Literatura dla naszych pociech jest w ogóle niezmiernie ubogą — w książkach i pismach dla nich wydawanych spotykamy najwięcej przeróbek z obcych języków albo rzeczy oryginalne lecz bez talentu kreślone. Tylko kilka nazwisk, i to kobiecych, umielibyśmy wymienić na pytanie: kto dobrze pisze dla dzieci? Nawet w przybliżeniu nie możemy się porównywać z cudzoziemcami — tam ogromne, wciąż rosnące bogactwo, u nas z dawnych zapasów wszystko wyczerpane a nowego nie nie przybywa. I zabawy dla dzieci kopiujemy z zagranicznych szematów; pomiędzy wynalazcami nie mamy ani jednego, któryby się grami towarzyskimi dla młodzieży zajmował, podpatrujemy tylko obcych. Przynajmniej i to dobrze, że gry rozmaite już wyrabiamy w własnych litografiach, introligatorniach i tokarniach; niedawno nawet arcaby tekturowe sprowadzaliśmy z zagranicy. Pomysł p. L. S.-R. jest szczęśliwy; znajdzie on zapewne możnych naśladowców, którzy ofiar dla dobra naszych dzieci nie poskąpią.

Z Połtawy otrzymaliśmy korespondencją, którą drukujemy, ponieważ idzie w nią o usprawiedliwienie parafian połtawskich z zarzuconej im obojętności względem świątyni Pańskiej. Korespondencja jest podpisana nazwiskiem człowieka, którego charakter i prawdomówność oraz ukształcenie mieliśmy sposobność poznać; wydrukowanie jej niech będzie naszym zadośćuczynieniem za posądzenie, które głosiliśmy przywiązując wiarę do wiadomości nam nadsyłanych. Niestety, nieraz chcąc dobrze zrobić, wyrządza się krzywdę mimowolną.

„Dwadzieścia z górą lat temu, polacy w Połtawie zamieszkali, za poparciem hr. Lamberta i staraniem ks. proboszcza Goliciego, wystawili kościół murywany, z marmurową posadzką; zaopatrzyli go w potrzebne aparaty i sprzęty dla sprawowania świętych Sakramentów. Kościół, jak na nieliczną parafię, jest dość okazały.

„Od dwóch lat czytamy, od czasu do czasu, korespondencje z Połtawy, wzywające do ofiar dla ubogiego naszego kościoła katolickiego. Milczałem czas długi, chociaż obowiązki i sumienie nakazywały mi już wcześniej odezwać się jaknajbezsronniej, że pan korespondent z Połtawy grzeszy wielką przesadą. Jeżeli zdołaliśmy wystawić kościół i zaopatrzyć w rzeczy potrzebne, to i dziś możemy utrzymać go w należytem stanie. Zatem proszę łaskawych ofiarodawców, nadal skierować swe szczerą chęć do tych kościołów, które rzeczywiście pomocy obecnej potrzebują, a od parafian zbyt ubogich lub nagannie obojętnych doczekać się jej nie mogą.

AL. TURZAŃSKI.

Nasi dobroczyńcy nie zrażeni jedną odmową, powtórzyli swe propozycje co do założenia szulerni kaucyonowanej w Ciechoćniku. Za prawo obdzierania ze skóry ludzi lekkomyślnych i łakomych, dobroczyńcy zobowiązują się zrobić z Ciechoćnika polskie Monaco, o ile na to nasz klimat pozwoli: chcą zbudować

wać pyszne tarasy, spacer, cieplarnie, wodotryski, teatry i t. p. świątynie zbytku i rozkoszy. Nie zapomną zapewne i o gaiku dla samobójców, bo bez tego szulernia nie miałyby dobrej re-nomy. Tym razem dobroczyńcami naszymi chcą być francuzi, nie niemcy; elegancko więc, ponętnie, przedstawiają swoje projekty, nazywając z uśmiechem opozycją w imię moralności i sumienia—parafiańszczyzną. Z obcymi przemysłowcami ma się połączyć jedna z naszych potęg finansowych, a na posady krupierów już dziś się zgłaszają dobrze urodzeni ludzie, którzy nie napróżno majątek stracili zagranicą. Mają teraz w ręku chleb gotowy... i ucziwy!

Praktyczne wzory rysunkowe, p. K. Pillatego, zeszyt II-gi. Powodzenie zeszytu I-go, który został zupełnie wyczerpany, ośmieliło autora do prowadzenia dalej dobrze pomyślanej a na dobie będącej pracy. Zeszyt II-gi zawiera rysunki już nieco trudniejsze — prostolinijne i krzywizny; pomysły urozmaicone, zręcznie skomplikowane zajmują oko i wprawiają rękę. Odbicie czyste, całe wydawnictwo schludne. Cena, jak poprzedniego zeszytu, kop. 24.

Nikt z bogaczy nie jest tak spokojny o swoje skarby jak Mierzwiński: wszyscy potrzebują kas ogniotrwałych, dozorców, śpiewak bez tego wszystkiego się obywa—gardło to jego skarbiec bezpieczny. Hojności jego znowu doznali ubodzy Odessy i katolickie Towarzystwo Dobroczynności, które urządziło przedstawienie amatorskie, złożone z komedii Fredry „Consilium facultatis” i Gawalewicza „Na estradzie”; p. Budzi-szewska pomogła do uświetnienia wieczoru wirtuoziertwem na fortepianie. Mierzwiński, obecny jako gość, rozgrzany dobrym przykładem, zaśpiewał po polsku „Szumią jodły” i po mało-rusku „Handzie”. Dochód z przedstawienia wyniósł 800 rs.

Konkurs dla lekarzy ogłosiło warszawskie Towarzystwo lekarskie, za najlepszą pracę dotyczącą nauk lekarskich lub pomocniczych. Nagroda wynosi rs. 240 i pochodzi z funduszu imienia d-ra Tytusa Chałubińskiego. Rękopism powinien wystarczyć najmniej na pięć arkuszy druku. Termin do nadsyłania prac: 1 kwietnia 1888 r. Jest więc dość czasu, nawet przy obszerniejszej praktyce, do zbogacenia wiedzy lekarskiej pracą oryginalną.

Jubileusz kapłański papieża Leona XIII zajmuje żywo cały świat katolicki. W programie jubileuszowym znajduje się wystawa nadesłanych darów ze wszystkich części świata; urządzoną zostanie w Watykanie i dostępną będzie dla wszystkich. Dotychczas wiadomo, że Chiny i Japonia, wyspy oceanu Spokojnego, mieszkańcy Afryki środkowej i Ameryki południowej przysłać najcenniejsze plody swego przemysłu. Ameryka rywalizować będzie z Europą o palmę pierwszeństwa w literaturze i typografii, wydając życie Leona XIII, pióra O. Raily’ego, w kilku językach cywilizowanego świata. Belgia złoży u stóp Ojca św. dzieło profesora przy uniwersytecie w Leodyum, Kurtha; dzieło to zawierać będzie życiorys Leona XIII, przedstawiający go jako nauczyciela i obrońcę prawd chrześcijańskich, jako gorliwego zwolennika nauk i postępu we wszystkich gałęziach ludzkiej wiedzy. Dary literackie wszystkich krajów, o ile dotąd wiadomo, tworzyć będą szacowną bibliotekę.

„**Grosz polski**”, stowarzyszenie założone przez polki w Chicago, niesie pomoc chorym albo pozbawionym zajęcia rodakom, opiekuje się starcami i sierotami, szerzy oświatę. Źródłem dochodów są odczyty, wieczorki literackie, przedstawienia amatorskie i t. p. zabawy. Kto nie może dać dolara, daje setną część jego ale daje każdy; wszyscy groszem swoim dzielą się z uboższymi.

Z dramatów morskich. W r. z. zatono na różnych morzach i oceanach 127 okrętów żaglowych i 13 parowców; w tej liczbie najwięcej angielskich—55, po nich norweskich—29, włoskich—9, niemieckich—9, amerykańskich—6, francuzkich—6, Dania, Rosya i Szwecja straciły po 3 okręty, Austria, Grecja, Portugalia i Hiszpania po jednym. W nekrologii parowców Anglia zapisała 11, Rosya 1, Francja 1. O tych wszystkich rozbiciach i zatonięciach dali znać rozbitki, czasem rozbitek jedyny z całej osady. Były jednak katastrofy w których nikt nie ocalał, a nawet wszelki ślad okrętów zaginął; w ten sposób pochłonęło morze wraz z ludźmi 4 parowce i 1 żaglowiec.

GWIAZDA GAŚNIE.

POWIEŚĆ

KLAUDYUSZA MARAISL.

(Dalszy ciąg.)

Podczas śniadania Armand udzielił Ludce zaproszenie pana Moufflard i postanowili pójść w pierwszy czwartek. Po deserze, Armand udał się wprost do biura. Ludka posprzątała ze stołu, przyrządziła co trzeba do obiadu i poszła do pana Haymana, fabrykanta porcelany. Dlatego, że poszczęściło się mężowi i spadło na nich takie bogactwo, to nie racya wcale aby ona miała siedzieć z założonemi rękami...

Pan Hayman, krótki, gruby, pękaty, z alzackim akcentem mowy, przyjął Ludkę jaknajuprzejmiej.

— Dzień dobry, kochana pani Dübner. Proszę, proszę do mego gabinetu. Widzi pani jaki ja przewidujący. Przygotowałem dla pani cały stos roboty. Pięćdziesiąt talerzy do malowania. Przedmiot do wyboru... amerek skrzydlaty, gołąbek lub pajac... co pani zechce. Wiem, że pani masz dobry gust i imaginacyą... Patrz pani, jaki to dobry gatunek porcelany — cienka — gładka...

Ludka ściągnęła zamszową rękawiczkę i dotknęła talerza.

— Widzę, widzę, śliczna! Można będzie bardzo piękne rzeczy na tém wymalować.

— Zatem zgadza się pani? Pięćdziesiąt przedmiotów po dwadzieścia franków od sztuki.

Ludka zarumieniała się z radości.

— O! jaki pan dobry, panie Hayman. Podwyższa mi pan płacę!

— Tak jest, nie chcę abyś mnie pani brała za skąpca. Zresztą pani nie jesteś już debiutantką... wyszłaś pani zamaż... a mąż, czy ładny chłopiec?

— Tak, w moich oczach przynajmniej.

— Bardzo dobrze, bardzo dobrze, kochana pani Dübner. I czémże się ten ładny chłopiec trudni?

— Pracuje w księgarni.

— Tak; a czy zadowolony z miejsca?

— Tak sobie, dosyć. Niedawno objął tę posadę, ale ma nadzieję otrzymania awansu.

— I dużo ma zajęcia?

— Cały dzień pracuje poza domem.

— Musi być istotnie bardzo zatrudniony, kiedy pozwala takiej młodej, ślicznej żonce wychodzić samą na ulicę.

— O! panie...

— Tak, tak, młodej i ślicznej. Wiem co mówię. A cóż się stało z klucznicą, z starą Teresą; wszak Teresa było jęj na imię?

— Jest zawsze u mego ojca.

— A ojczulek zawsze w ministerstwie? Nie wiele oni tam robią w tém ministerstwie... co?

Ludka, którą te pytania niedyskretne starego fabrykanta wprawiały w pewne zakłopotanie, nie odpowiedziała nic, tylko zajęła się oglądaniem talerzy. Gdy podniosła oczy, ujrzała głowę Haymana pochyloną ku jęj ręce; cofnęła się z żywością a rumieniec oblał jęj twarz.

— Przypatrywałem się pierścionkowi pani — tłumaczył się Hayman. Śliczny kamień, pełen blasku. Czy to od męża?

— Tak, panie — odparła młoda kobieta, zadziwiona tą niewłaściwą ciekawością.

— Ma wiele gustu mężulek pani. Zatem to rzecz ułożona; pięćdziesiąt talerzy po ludwiku od sztuki. Niech pani nie zadaje sobie trudu posyłać po nie; odeślę je przez chłopca. A jak tylko pani skończy, proszę mnie uprzedzić dostarczyć pani drugą pięćdziesiątkę. Co do zapłaty, to zupełnie jak pani życzy... Może pani chce pieniędzy z góry?

— Nie, dziękuję panu bardzo.

— Do zobaczenia zatem, do zobaczenia, kochana pani. Proszę oświadczyć ukłony mężowi.

— Nie wystawisz sobie, Armandzie, jak stary Hayman uprzejmym był dla mnie dzisiaj — mówiła Ludka przy obie-

dzie. Dał mi pięćdziesiąt talerzy do malowania po napoleonie od sztuki; to nam uczyni okragłe tysiąc franków, a robota nie zabierze dwóch miesięcy czasu.

— Prawdziwie pomyślny dzień dla nas, mój aniołku, bo pan Kolberger oświadczył mi również, iż od przyszłego miesiąca podwyższy moję płacę.

— Wszystko zatem dziś nam się udaje!

— Wszystko bez wyjątku!

— A co będziemy robić dziś wieczór?

— Pójdziemy przejść się po bulwarach, a że jest straszny upał, zatrzymamy się w Café de la Paix, aby zjeść porcyą waniliowych lodów, które moja pieszczotka tak lubi. Potem wrócimy przez ulicę de Chateaudun, przypatrzymy się wystawom antykwarzy i jeżeli ten kantorek w stylu Ludwika XVI nie sprzedany...

— Jakto?! przystałbyś?

— Cóż mam robić? Co kobieta chce... znasz przysłowie.

— Och! jesteś perłą mężów! Ubóstwiam cię!

I Ludka rzuca mu się na szyję.

IV.

Podczas gdy Armand pracuje w księgarni, Ludka w domu maluje zawzięcie na porcelanie; salonik swój przekształciła na pracownię. Skromnie choć z wdziękiem ubrana, z włosami gładko zaczesanemi nad czołem, przepasana długim czarnym fartuszkim — siedzi od rana pochylona nad robotą, barwiąc delikatnie listki róży lub cieniuąc rozpostarte skrzydła amorków. Z uderzeniem piątęj składa pędzle, nakłada tyrolski kapelusik z piórem i idzie na róg ulicy Vivienne, oczekiwać na męża przed wejściem do księgarni. Punktualnie o szóstęj Armand ukazuje się we drzwiach i podaje jęj ramię.

— Dokąd idziemy?

— Na ulicę Taitbout. Odkryłem śliczną szyfonierkę w stylu I-go cesarstwa. Kupiec żąda za nią dwieście franków ale sądzę, że spusi na sto pięćdziesiąt.

— Pójdźmy się przekonać.

Oglądają, namyślają się, targują i w końcu kupują. Raz biurko w stylu Ludwika XVI, to znów stół z epoki Odrodzenia, dość, że skromne mieszkanko mebluje się potrosze i zapelnia dziełami sztuki, tworząc artystyczną mieszaninę stylów i epok rozmaitych, starożytnego i nowoczesnego smaku, pełną sprzeczności lecz nie pozbawioną wdzięku.

Armand i Ludwika ogołocili antykwarnię, szperali wszędzie, brali udział we wszystkich wyprzedazach, chodzili na wszystkie licytacje. Jeżeli ich apartament tak ładnie wygląda na oko, tak przytulnym wydaje się schronieniem dla dwojga serc kochających, to mogą się nim pochwalić jako swém własnym dziełem, do którego każde przykładło rękę. To też jakże kochają to swoje własne gniazdko! Jak im w niem dobrze i miło! Jak przyjemnie schodzą im jesienne wieczory, podczas których Ludka gra na fortepianie, śpiewając modne piosenki, a Armand leży wyciągnięty na szezłagu, puszczając wonne kłęby dymu z papierosa!

Nie mogą przecież zamykać się u siebie jak odludki stroniące od świata; muszą wyjść czasem i pokazać się między ludźmi, złożyć parę wizyt, wziąć udział w kilku zebraniach.

W czwartki chodzą czasem wieczorem do pana Moufflard. Tam ich przyjmują bardzo uprzejmie i świadczą im wielkie honory. Nawet ojciec Cointel, stary, zgryźliwy Cointel raczy całować córkę w czoło i podaje niechętną dłoń zięciowi. Słyszał, że interesa młodej pary stoją nieźle, więc zaczyna się ułaskawiać.

Złożyli również wizytę panu i pani Parin, którzy ich przyjęli nader gościnnie. Hortensya od pierwszej chwili wzięła Ludkę pod swoją protekcję; obiecała wprowadzić ją w świat i zapoznać ze swymi przyjaciółmi; zaprosiła ją na wtorki do swojej łoży w Théâtre français. Achilles ze swęj strony pełen okazał się uprzejmości dla Armanda; tylko co się był właśnie zapoznał z zwierchnikiem jego panem Tontaint, i obiecywał korzystać z tego, aby poprzeć sprawę pana Dübnera i wyjednać mu awans.

Podczas gdy Ludka rozmawia z jego żoną, pan Parin obserwuje ją zdaleka:

— Ładna buzia, niema co mówić!... Nie dziw, że kiedyś miał do niej słabostkę... Minęło to wprawdzie, ale... uczucie mogłoby ożyć...

Armand i Ludka są zachwyceni... Wszystkie drzwi gościnnie otwierają się przed nimi. Paryżanie jesienią powracają do miasta... wieczory i bale rozpoczynają się na nowo. Państwo Dübner otrzymują mnóstwo zaproszeń i rzucają się w świat z zapalem... Raz czy dwa w przeciągu zimy urządzili u siebie małe przyjęcie—bardzo skromne, bez żadnej wystawy. Filiżanka herbaty i parę ciastek—nic więcej...

Znajomi lubią bywać u nich i dobrze się bawią na tych małych herbatkach. Prostota ich stanowi ujmujący powab i żywą sprzeczność z wystawnością zbytkownych przyjęć ludzi zamożnych. Goście państwa Dübner lubują się widokiem ślicznej i skrzętniej gospośi, która wymyka się z salonu, aby zapalić knot gazowy pod maszynką do herbaty, a za chwilę powraca, aby zasiąść do fortepianu i zagrać sonatę Beethovena lub mazurka Szopena.

Ludka choć bywa w świecie, nie zaniedbuje jednak dlatego pracy swój artystycznej; zarabia z łatwością pięćset franków miesięcznie. Mieszkanie ich jest już zupełnie umeblowane, dostawcy zapłaceni gotówką; prócz tego w kantorku leżą starannie odłożone na bok dwa rulony złota, po tysiąc franków każdy...

Szczęście młodych małżonków dochodzi do zenitu.

Zewnątrz domu przyjemności i rozrywki coraz to więcej urozmaicone; wewnątrz spokój, cisza i zaufanie oparte na miłości wzajemnej.

Mają przyjaciół, znajomych — wszyscy ich lubią i otaczają przychylnością i względami. Kobiety mają uznanie dla męża; mężczyźni dyskretnie podziwiają żonę. Pod względem światowym i materyalnym, nic im więc nie pozostaje do życzenia; są szczęśliwi a miłość tak opromienia życie, że świat wydaje im się rajem; z zachwytem powtarzają sobie: „Jak pięknym jest życie!”

V.

Jest godzina trzecia po południu. Słońce wiosenne falami złotego światła napływa przez otwarte okno małego saloniku, przekształconego w pracownię. Rozprysłe promienie ukośnie ścielą się na meblach, sięgając najciemniejszych zakątków. Pokój pustym jest w tej chwili: pan Dübner jest w księgarni, pani Dübner wyszła na miasto porzuciwszy na stole paletę, farby i pędzle... Stosy talerzy wznoszą się na ziemi i stole. Interesa młodej pary muszą iść dobrze... kilka ładnych obrazów w złotych ramach wisi na ścianie, kilka kunsztownych mebli przydanych zostało do dawnego garnituru. Dochody Armanda Dübnera jakkolwiek zwiększone, nie wystarczyłyby na pokrycie podobnych wydatków: znać stary Hayman podwaja obstalunki i płacę. Nie do uwierzenia, jaki ma popyt malowana porcelana; widocznie fabryka dostaje zamówienie za zamówieniem, bo Ludka nie może podoląć robocie. Ogranicza się teraz na rysowaniu wzorów, które naśladują potem podrzędne pracownice. Pan Hayman płaci sownie za monopol jej pracy, to też dwa czy trzy razy tygodniowo chodzi ona do jego magazynu, aby mu przedstawić modele swoje lub retuszować, gdy zajdzie potrzeba, naśladowane wzory.

Koło godziny piątej lekkie, pospieszne kroki dają się słyszeć na schodach, klucz zakręca się w zamku i Ludka wchodzi do salonu. Szybkim ruchem zrzuca kapelusz z głowy, ściąga rękawiczki z rąk i rzuca się na fotel, pogrążona w myślach. Jest równie ładną jak dawniej—ładniejszą nawet może; kibić jej równie kształtna i gibka, cera świeża, oczy pełne blasku... Czoło jej tylko fałduje się pod wpływem natrętniej jakiejś myśli... brwi ściągają się gniewnie, kąty ust podnoszą się sarkastycznie... Znać, że jest pod wpływem irytacji czy silnego wzruszenia.

Po chwili nadechodzi Armand a widząc ją gniewną, pyta zatrwożony:

— Co ci jest, moja najdroższa? Cóż znaczy ta mina? co się stało?

— To się stało, że nie będę już więcej pracowała dla Haymana i Spółki.

— Cóż to znaczy? Odmówili ci zapłaty? Bankrutują czy co?

— Ale gdybyż tylko to!... Wiesz dlaczego miałam tyle obstalunków? wiesz dlaczego byłam tak dobrze płatną?

— Nie; wytłumacz się.

— Oto dlatego, że ten Hayman kocha się we mnie!

— Nie dziwię mu się wcale, ale nie przypuszczam, żeby miał się zapomnieć...

— Otóż właśnie, że zapomniał się; zaczął mówić takie rzeczy, że byłam zmuszoną zwrócić mu jego talerze i oświadczyć, iż więcej dla niego pracować nie będę... Musiałam to uczynić... wymagała tego godność moja—kończy Ludka blizka płaczu.

— I dobrześ zrobiła, mój aniołku. Znajdziemy ci innego Haymana i równie dobry zbyt na twoją pracę. Nie martw się tylko tym... przez miesiąc trochę się będziem ograniczać w wydatkach, obejdziem się na przykład bez konfitur na deser. No! rozwesel się, żonusi!... rozchmurz twoje białe czołko... uśmiechnij się... zaraz... proszę!

I Ludka uśmiecha się jak jej kazano. Armand całuje ją z uniesieniem, ona jego; troski pierzchają daleko i zapomniane są na chwilę. Obiad wesoło przechodzi jak zwykle; Armand usiłuje konieczni rozerwać żonę, śmieje się i opowiada wesołe anegdoty. Miał zamiar kupić sobie biurko do sypialnego pokoju, ale obejdzie się bez niego... wielka rzecz! Hayman zachował się niewłaściwie względem jego żony, żona bardzo dobrze zrobiła porzucając go...

Koło szóstej zjawiają się państwo Parin, którzy w ścisłych stosunkach zażyłości zostają z młodą parą zakochanych; nie upływa tygodnia, aby jedni u drugich nie spędzili wieczoru. Podczas gdy panowie zapalają papierosy w bawialnym pokoju, Hortensya z Ludką idą do kuchni przygotowywać do herbaty. Pani Parin pasyami lubi pomagać przyjaciółce w gospodarskich zajęciach.

— Nie uwierzysz, moja droga — mówi do niej — jak przepadam za twoim towarzystwem. Wieleż to jest milionerek, mających po kilkadziesiąt lokai i utrzymujących dom zbytkowny, do których spieszę mniej ochoczo niż do ciebie.

Krając babkę i nastawiając wodę, Ludka opowiada swoje zmartwienie przyjaciółce.

— I cóż ty na to? — pyta. — Czy nie miałam słuszności pogńiewać się i wymówić mu robotę?

— Nie, moja droga, postąpiłaś bardzo niedorzecznie.

— Jakto?

— Stary nadskakuje ci, mówisz; i cóż w tym tak złego? Przecież nie jest niebezpiecznym; czyż to pierwsze oświadczyły, które odebrałaś od mężczyzny; wszak jesteś ładną, śliczną! Ja, brzydka, a słyszałam ich już nie wiem wiele w życiu, i nie sobie z nich nie robiłam; jak cię kocham! Któżby się tam gniewał o taką bagatelę! Zastanów się tylko, ten Hayman, który siedzi na workach złota, dostarcza ci roboty, podwaja twoją płacę, daje ci sposób do życia, a ty ni ztąd ni z owąd obrażasz się i rzucaś go dlatego, że trochę czuliej uśmiechnął się do ciebie. To niema najmniejszego sensu, moja Ludko! Ja dawno domyślałam się jak rzeczy stoją.

— Jakto, domyślałaś się i nie przestrzegłaś mnie?

— A poco, moje dziecko? Mówiłam sobie: stary Hayman uprzejmym jest dla niej, to jej pochlebia; prawi komplementa, których ona słucha jednem uchem... czasem ośmiela się pocałować białą rączkę... I cóż w tym złego? Ludka jest tyle rozsądną, że nie pozwoli sobie ubliżyć... Mężczyźni kontentują się bagatelą... jednym uśmiechem, jednem uprzejmym słowem; mogłaś starego prowadzić jak na pasku i zrobić z niego prawdziwą geś zlotodajną... Tymczasem pani się unosi, dąsa, oburza... On śmiał ją nazywać ładną... coza niegodziwość! On ośmielił się pocałować ją w rączkę... coza infamia!... To dopiero rozsądny sposób postępowania. Nie, moja Ludko! gdybyś była żoną księcia, niezależną i milionerką, jeszczebym twoje zachowanie nazwała nierozsądnem; w twojem położeniu biednej żony urzędnika, jest ono pro prostu pozbawione sensu!

Oto masz mój sposób widzenia rzeczy, a teraz wszelkich usiłowań dołożę, aby ci wyszukać inne zajęcie. Upprzedzam cię, że to nie będzie tak łatwem, jak ci się zdaje: Hayman trzyma w swojej zależności pomniejsze fabryki... Nie każda odważy się powierzyć robotę osobie, która rozstała się z nim, z pryncypałem!

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Blizki kres kampanii wyborczej niemieckiej. — Naprężenie nie ustaje. — Uchwała izby deputowanych francuskiej. — Boulanger mężem przeznaczenia. — Co mówią francuzi. — Zwołanie delegacji austro-węgierskich na 1 marca. — Zażądanie kredytów od sejmów. — Przesilenie ministerialne włoskie. — Interes niemiecki. — Ostatnie wiadomości.

Za kilka dni zakończy się kampania wyborcza do parlamentu niemieckiego, rozstrzygnie się dalszy los siedmioletniego wojennego, a jeśli wybory wypadną po myśli rządu, przekonamy się dopiero ostatecznie, czy postrachy wojenne rzucane do niedawna przez prasę półurzędową niemiecką dążyły rzeczywiście do wywołania nowej wojny z Francją, czy też były tylko manewrami wyborczymi. O rezultacie wyborów trudno dotąd wróżyć cokolwiek, lubo przeciechnięcie wiadomości niepokojących w dziennikach niemieckich od dni paru, każe wnosić, iż rząd poczyną nabierać pewności swego zwycięstwa.

Naprężenie ogólne nie ustaje jednak mimo tego. Uchwalenie przez izbę deputowanych francuską jednomyślnie, bez dyskusji, przez akłamacją 220-milionowego kredytu, żądanego przez generała Boulanger'a na uzupełnienie uzbrojeń, nie daje spać spokojnie organom prasy niemieckiej. Ten wspniany akt patryotyzmu, w którym wszystkie stronnictwa francuskie, odrzuciwszy na bok wszelkie różnice poglądów i przekonań, złąły się w jedno wielkie stronnictwo narodowe, zaimponował Niemcom, tym Niemcom, którzy tak uparcie targują się z rządem swoim o siedmioletnie; generał Boulanger urósł w ich oczach na męża niezwykłych rozmiarów. „Już w poprzednim gabinecie — mówi „Gazeta Kolońska” — Boulanger wyrósł nad głowę Grévym, Gobletom, Freycinetom i t. d., teraz opozycja przeciw niemu jest niemożliwą; świeci mu gwiazda jak Napoleonowi, jest on człowiekiem przeznaczenia dla Francji...”

Czy generał Boulanger odpowie tym powziętym o nim wyobrażeniom, to niedaleka przyszłość pokaże; to pewna, że odniósł zwycięstwo, jakim dotąd podobno żaden minister Francji pochlubić się nie może, i że jest dzisiaj zupełnym panem sytuacji. Francja poszłaby za nim gdzieby zechciał. Czy poprowadzi ją na bój z Niemcami, o tym w tej chwili wątpić należy; uzbrojenia nie są jeszcze skończone; ale stał się przeciwnikiem, z którym Niemcy na seryo liczyć się muszą; oni sami, ciąglem wmawianiem żądzy wojennej we francuzów, głównie wypchnęli go na to wysokie stanowisko.

Tymczasem francuzi wypierają się wszelkich zachcianek wojennych, zapewniają, że wszelkie ruchy wojsk francuskich są jedynie następstwem wykonania dyslokacji wojsk, nakreślonego jeszcze w r. 1872. Atoli, czy to wypływa z tego planu, czy z jakiegokolwiek innego, niema wątpliwości, że załogi francuskie na granicy wschodniej w ostatnich czasach silnie zostały wzmocnione.

Jednym z objawów świadczących o niepewności położenia jest postanowienie rządu austriackiego zwołania delegacji na sesję nadzwyczajną, na dzień 1 marca. Jak wiadomo, rząd austriacki zastrzegł sobie ten krok jedynie na wypadek, gdyby sytuacja polityczna chwycenia się nadzwyczajnych środków wymagała; położenie zatem nie musi być nader uspakajające, skoro uznano za stosowne w sprawie nadzwyczajnych kredytów odwołać się w niezwykłym czasie do delegacji. Wysokość kredytów, których rząd zamierza żądać od delegacji, wyniesie 50 milionów guldenów; oprócz tego w radzie państwa i w sejmie węgierskim wystąpiono już z żądaniami kredytów na zaopatrzenie pospolitego ruszenia, a mianowicie na przedlitawskie 12 milionów, na zalitawskie (węgierskie) 8 milionów. W Peszcie wszystkie stronnictwa, na odbytej w tym celu konferencji, postanowiły uchwalić żądane sumy bez rozpraw. To samo zapewne nastąpi w radzie państwa. W motywach rządowych usprawiedliwiających domaganie się kredytu powiedziane jest, że interesa austriackie wymagają rozwoju pokojowego, utrzymanie też

pokoju jest głównym zadaniem sfer rządowych; ale wobec tego co się dzieje, każde państwo, które się nie chce wyprzeć najżywotniejszych swoich interesów, powinno być gotowe do poniesienia wszelkich ofiar, aby tylko nie dać się wyprzedzić wypadkom.

Jednym z wypadków, który wobec drażliwego położenia ogólnego, najniespodziewaniej nabawił ciężkiego kłopotu nie tylko Włochów ale i inne państwa, jest przesilenie ministerialne włoskie. Po klęsce poniesionej od abisyńczyków, gabinet zażądał od izby kredytów na wyprawę do Afryki. Izba żądane kredyty uchwaliła, ale opozycja tak dokuczała gabinetowi za jego politykę kolonialną, że najprzód minister spraw zagranicznych hr. Robilant, najmniej winien, jako ten, który całą tę politykę otrzymał w spadku po swoim poprzedniku Mancinim, a następnie cały gabinet, z prezesem swoim Depretisem, podał się do dymisji. Zarówno wyprawa afrykańska, jak to przesilenie, w chwilach tak ważnych są ciężkimi kulami u nóg polityki włoskiej.

Ale i kto inny jest tym mocno zaniepokojony. Dopiero w ostatnich niemal dniach „Opinione” włoska objawiła światu, że między Niemcami, Austrią i Włochami istnieje traktat, mocą którego strony kontraktujące poręczają sobie nawzajem całość swoich terytoriów. Traktat ten za parę miesięcy ekspirowe, teraz więc właśnie jest czas pomyśleć o jego odnowieniu. Jeżeli kiedy to teraz, ks. Bismarkowi musi zależeć na tym, aby traktat został przedłużony; że zaś po ustąpieniu obecnego ministerium włoskiego, było rzeczą bardzo prawdopodobną, że król Humbert utworzenie nowego gabinetu powierzy zwolennikom tak zwaną „pentarchii”, co znaczyłoby tyle co zerwanie z Niemcami a zbliżenie się do Francji, można sobie wystawić, jakim okiem śledzono z Berlina bieg wypadków we Włoszech i co robiono, żeby podtrzymać dotychczasowy stan rzeczy.

Jakoż nie wiadomo, czy w skutek niemieckich zabiegów, czy z innych powodów, dość, że ostatnie wiadomości z Włoch donoszą, iż król upoważnił znów Depretisa do ukonstytuowania nowego gabinetu, w którego skład ma wejść koniecznie i hr. Robilant.

Rządowi berlińskiemu wielki zaprawdę ciężar spadnie z serca, jeśli się ta wiadomość potwierdzi.



605) ODPOWIEDŹ na pytanie: Jak zimują zwierzęta?

Jednym z najbardziej zdumiewających instynktów jest przecucie zimy; jedne zwierzęta zimują w ojczyźnie, inne szukają stron cieplejszych.

Odzieży zimowej dostarcza im sama przyroda. Pod sierścią konia, krowy, kozy, psa i t. p. wyrasta w jesieni włos puszysty, nieprzepuszczający wiatru i zimna. Przemiana ta występuje widoczniej jeszcze u gatunków leśnych, jak sarna, wiewiórka, łasica, dostających na zimę sierść cieplejszą, jaśniejszą zabarwioną. Pomimo to wiele gatunków słabszych padłoby ofiarą mrozów, gdyby nie przyszedł im w pomoc ów instynkt tajemniczy. Wróble, wiewiórka, przeczuwając zimę, zabezpieczają się przed nią; już w jesieni znoszą do gniazda włosy, piórka, wełnę, i zatykają nimi szparki, wyścielają wnętrze. Skrzeczek, borsuk i inne mieszkające w ziemi, pogłębiają norę, nauczony się, że im głębiej tym cieplej.

Niektórym zwierzętom ułatwia przetrwanie mrozów sen zimowy, niby letarg, w którym pozostają pogrążone do wiosny. Zwierzę związa się w ten sposób, że nie tylko oddech i krążenie krwi, lecz i trawienie zatrzymanem zostaje. Większa też część nie przyjmuje w ciągu snu żadnego pokarmu. Wyjątek pod pewnym względem stanowią borsuk i niedźwiedź, odżywiające się swym własnym tłuszczem. Jeże, myszy leśne, popielice, skrzeczki, krety, nietoparze, zapadłszy raz w sen, budzą się dopiero z wiosną.

Prócz ssących, sen zimowy odrętwia żaby, jaszczurki i węże, a z niższych klas ślimaki i liczne owady. Odrętwione muchy, pająki i t. p. w stanie tym są zupełnie bez życia i uczucia, jakby obumarłe; z nadzieją jednak pory cieplejszej, budzą się. Réaumur wsadzał w rurki szklane gąsienice wyjęte z gniazd zimowych i zapomocą tłuczonego lodu i soli kuchennej zamrażał je do 19^o niżej zera. Sztwne były i wyglądały jak martwe, powracały jednak w ciepło do życia. To samo zauważono na zamrażonych w lodzie rybach, salamandrach i żabach. Nie wszystkie owady oprócz się mogą mrozom, wiele pada ich ofiarą.

Jajka niektórych robaków zachowują się przez wiele lat, w szlamie, w stanie suszonym. Tak zwana pierścienica składa na jesień jajka swe w korze wierzb i topoli, inne szkodliwe owady opasują obrączkowato korę drzew owocowych jaskami, lub składają je kupkami w pobliżu pączków, by na wiosnę zapewnić żywienie potomstwu.

W stanie larw przebywają zimę owady wodne i większa część motyli. Żuki, prawie bez wyjątku, zimują w stanie rozwiniętym.

Tak zwany żuk majowy, złoty i inne, spędzają zimę w głębokim gniazdku podziemnym; inne kryją się w wydrążonych ziarnach zboża, w suchych liściach, żółdziejach lub muszlach.

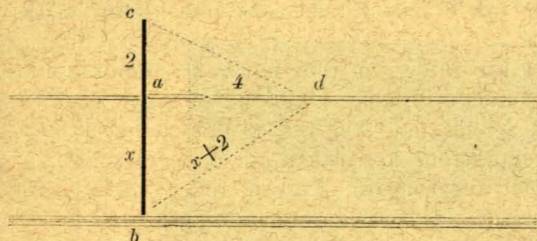
Nie wszystkie zwierzęta żyć mogą jak lis z rabunku, albo jak borsuk i niedźwiedź odżywiać się swym tłuszczem; potrzeba uczyć oszczędności zarówno ludzi jak zwierzęta. Pod tym względem podziwiać należy skrzeczkę, którego zapasy zimowe składają się z najpiękniejszych i najdojrzalszych ziarn zbożowych, leżących w spiżarni jego nie bezładnie, lecz uporządkowanych według gatunków i wynoszących do 35 funtów wagi.

Kto nauczył zwierzątko gromadzić zapasy wiosenne, by nie doznało głodu po ocuceniu się z zimowego letargu? Zawstydzona ono człowieka nie myślącego o jutrze, jeżeli mu dziś nie dokucza.

606) PYTANIE: Ile trzeba strzałów karabinowych, aby żołnierz do którego były wycelowane został trafionym?

Ze skarba prawd. Prawa niepożyteczne osłabiają wpływ praw koniecznych.

Zadanie geometryczne z N-ru 5.



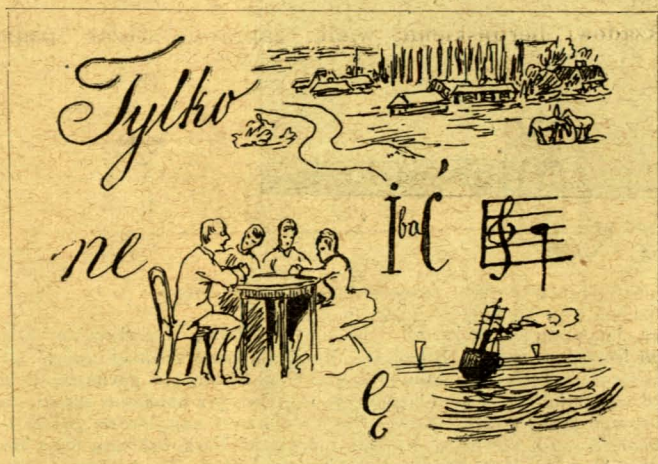
Ujmujemy trzecią z wierzchołek c i wypreżając ją zaznaczamy punkt d , w którym ona dotyka powierzchni wody; od tego punktu d mierzymy odległość do punktu a . Następnie od b do d przeprowadzamy idealną linię $(x+2)$. Wreszcie na trzech bokach powstałego ztąd trójkąta $(x, x+2, 4)$ budujemy kwadraty i zapomocą twierdzenia *centum borum* rozwiązujemy zadanie.

$$\begin{aligned}(x+2)^2 &= x^2 + 4^2 \\ x^2 + 4x + 4 &= x^2 + 16 \\ 4x &= 12 \\ x &= \frac{12}{4} = 3\end{aligned}$$

Trzecina zaś cała $b c$ ma $3 + 2 = 5$ łokci.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp. Stefan Duszewski i Witold W.

R E B U S.



Rebus z N-ru 6. Głupi powtarzając cudze zdanie jest podobny do echa.

Jak się ceniło sławę autorską przed pięćdziesięciu laty. Wydawca, potrzebujący manuskryptu, udawał się do autora z uznaną już wziętością.

— Dam mu trzy tysiące franków — mówił do siebie, wyszukując adresu pisarza.

Dowiedziawszy się, że pisarz mieszka w dzielnicy studentów i szwaczek, rozumował:

— To jakiś chudopacholek — dam mu tylko dwa tysiące.

Stawwszy w domu, w którym mieszkał poszukiwany autor, wydawca objaśniony przez odźwiernego, że musi się wdrapywać na czwarte piętro, poprowadził swoje honorarium:

— To biedak co się zowie — dam mu tylko tysiąc pięćset.

Nareszcie zapukał do drzwi. Otworzono mu je.

Umieblowanie było ubogie.

— Ależ to nędzarz — pomyślał i obniżył cenę do tysiąca franków.

A kiedy spostrzegł, że sławny autor zajada chleb rozdrobiony w ciepłej wodzie — zdecydował:

— Ależ on nie wart więcej jak trzysta franków.

I za tę cenę kupił arcydzieło powieściowe p. t. „Ostatnia czarodziejka”, kupił od... Balzaka.

Aby nie ubliżyć.

Dwaj znajomi wstępują do sklepu z cygarami i innymi towarami drobnymi; pierwszy z nich kupując dla siebie cygara, częstuje nimi swego towarzysza.

— Dziękuję, nie palę—lecz żeby ci nie ubliżyć, zamiast cygara wezmę markę pocztową w tej samej cenie.

— Ile pani, panno Julio, masz lat naprawdę?

— Kiedy wychodzę z papą mam lat ośmnaście, a kiedy z mamą jestem o trzy lata młodszą.

Swawolny chłopak zobaczywszy murzyna, zawołał:

— Ach! jakbym ja chciał być murzynem.

— A to dlaczego?

— Bo mógłbym się ciągle walać a mama już by na mnie nie krzyczała.

JAK SOBIE RADZIĆ.

Uniknąć zaziębienia. W kamizelkach zamiast cienkiej podszewki powinna być materyja ciepła. Każde zaziębienie najpierw odczuwają plecy, które nie mając ani tyle tłuszczu ani tyle mięśni co inne części ciała, są wrażliwsze na każdą zmianę powietrza. Przeciwnie plecy są pięć razy uboższe w naturalne ciepło niż piersi i ręce; stratę tę powinny wynagradzać kaftenik lub ciepła podszewka kamizelki.

Rolnictwo, przemysł, giełda.

Niepewność sytuacji politycznej udzieliła się i stosunkom handlu zbożowego. Zarówno spekulanci jak producenci wyczekują, na którą stronę szala ostatecznie się przeważa, a w miarę jak się ona w tę lub w ową stronę nachyla, następuje zwrot ku wyższemu lub niższemu, ale nadzwyczaj ostrożny, macający, a zatem drobny i nieznaczny.

Zarówno w Anglii jak we Francji na rynkach zastój panował; w Austrii widoki wojenne w początkach tygodnia wywołały ruch żwawszy, który jednak ostygł niebawem. W Niemczech rynki zbożowe cechował spokój, wśród którego utrzymały się ceny bez najmniejszej zmiany. W Rosyi ani śladu, ani widoków większego wywozu.

Na naszych targach podaż była bardzo słaba, popyt zaś dość ożywiony; mimo tego ceny bardzo mało się podniosły, gdyż kupowano wyłącznie na miejscową potrzebę.

Giełdy są w istnie rozpaczliwym położeniu; niepewne jutro, straciwszy wszelki prawie wdech, opuściły ręce i biernie poddają się biegowi wypadków. Giełda berlińska w ostatnich dniach była prawie zupełnie bezczynną. Ruble notowała w ciągu tygodnia jak następuje: we wtorek 184.10, we środę 183.05, we czwartek 183, w piątek 181.80, w sobotę tak samo, w poniedziałek 182.30 a różnice wtorkowe depesze przyniosły kurs 182.50.

Warszawa, d. 16 lutego 1887 r. 50/1, Listy Zast. (za rs. 100) 100 20. — Listy Zast. ser. II lit. A. 101. — Listy Zast. ser. III lit. A. 101. — Listy Zast. M. W. I ser. 100. — Listy Zast. M. W. II ser. 99.25. — Listy Zast. M. W. III ser. 98.75. — Listy likwidacyjne Król. Pol. 9460. — Marka niem. kop. 55 1/2; złoty reński kop. 87 3/4; frank k. 44 1/2; półimperyal rs. 9 k. 15.

Targ Warszawski. Za korzec: Pszenica rs. 8 k. 10. — Żyto rs. 5 k. — Jęczmień rs. 4 k. 50. — Owies rs. 3. — Groch rs. 5 k. 50.

— na stacyi Praga. Za pud: Pszenica rs. 1 k. 28. — Żyto kop. 86. — Jęczmień kop. 86. — Owies kop. 83. — Groch kop. 90. — Gryka kop. 87.



Hold i próżność. (P. S. L. w Odessie.) Pogrzeb wystawny jest często wyrazem holdu oddanego zmarłemu przez rodzinę jego i społeczeństwo; w tym razie wystawa nie powinna nas gorszyć, chociażby nawet była zakosztowną dla spadkobierców majątku lub dobrego imienia. Nie możemy więc wydrukować satyry na pogrzeb człowieka zajmującego za życia bardzo skromne stanowisko a chowanego z przepychem godnym milionera. Być może, że enoty nieboszczyka, o jakich my nie wiemy, tyle są warte dla jego rodziny ile dla innych warte są miliony w gotówce; byle tylko obey ludzie, wierzyli, tą wystawnością nie zostali skrzywdzeni — wyrzutów rodzinie robić nie mamy prawa. Być może, że się podszarpnęli, zrujnowali nawet tym aktem zbytkownym, ale pobudki były szlachetne; wypuścili zatem kamień z ręki podniesionej. — Inna rzecz z pogrzebami wystawnymi a mającymi na celu pokrycie złych wspomnień; jakie nieboszczyk po sobie zostawił, lub dogadzającymi próżności żyjących. Takie pogrzeby roztrącające ludzi na ulicach, potępiamy jak każdą próżność; nad nieboszczykami, którzy wspaniały kondukt z muzyką i pióropuszem zastrzegają sobie w testamentie, tylko litować się trzeba. Oni już nie wiedzieli co czynią. Taką słabość miał pewien magnat, którego szczątki śmiertelne unosił w tych czasach przez paryżskie bulwary wóz pogrzebowy bogato przyozdobiony, zarzucony kwiatami, poza którym postępowały tylko trzy osoby: żona, córka i stary sługa murzyn. Bogacz ten, to dziecko Paryża; wyemigrował mając lat dziesięć do Ameryki, z pudełkiem zapalek i nici. Los mu sprzyjał, w 80-tym roku życia swego posiadał przeszło 80 milionów franków gotówki. Starcowi przypomniała się ziemia rodzinną, zapragnął spocząć na paryżkim cmentarzu, chciał pokazać się swoim ziomkom na wozie w królewskim przepychu. Chciał swoim z mogiły powiedzieć: patrzcie! do czego dojść może najbardziej francuz, byle tylko chciał i miał rozum. Próżność starca była zarazem holdem oddanym swęj krwi, swemu narodowi; czyż więc ona nie zasługuje na pobożanie?

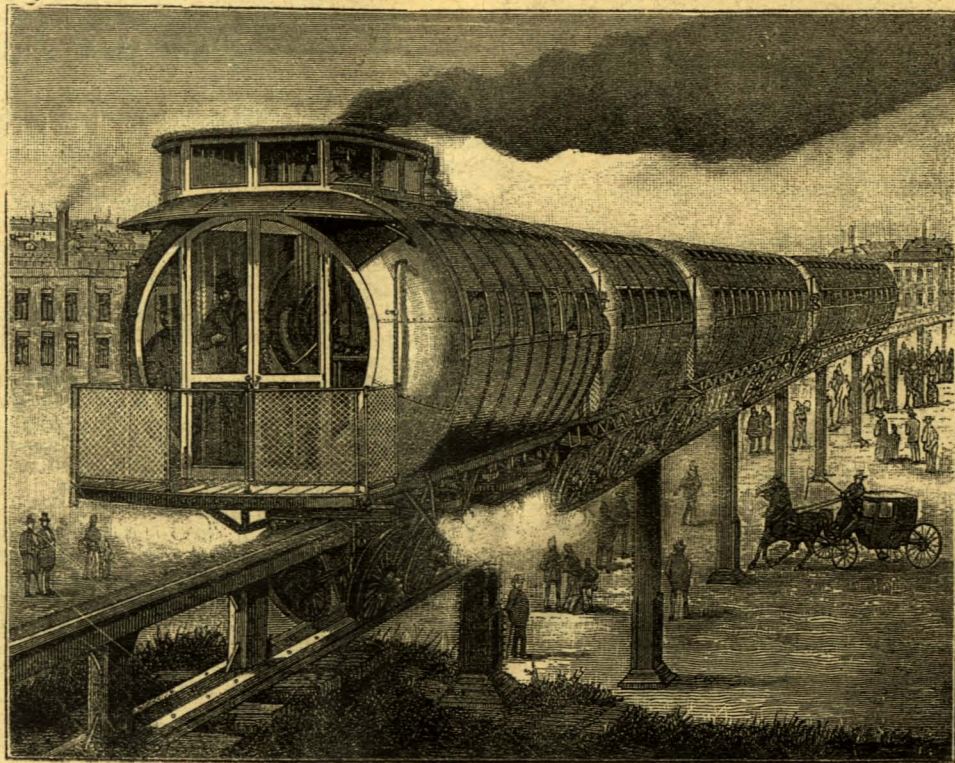
Post-scriptum.

P. B. w War. O „śiwym dziaduniu”, który zanadto poufałe bawi się z dziećmi w ogródku przy wodach mineralnych w Saskim Ogrodzie, przypominamy jak tylko słonko wiosenne wywiedzie „pocziwa” na ławkę ogrodową.

PRZEWODNIK.

Nazwiska nie wymieniamy, lecz łatwo gorszydziela poznają rodzice, zachwyceni komplementami i karesami, jakimi obsypuje ich córeczki. Oburzenie sz. pani podzielamy najzupełniej, lecz ukarać starego lewka mogą tylko rodzice, których dzieci nęci do siebie dowiecipem i karmelkiem. Matki! jedna niebaczność na to z kim się wasze dziecko bawi, zawiesz może córkę lub syna na bezdroża; chcieli-byscie potem honor dziecka okupić życiem swoim ale, niestety, nieraz już bywa zapóźno. — **P. Jakób N. Jodko w O.** Ze szczerą radością odczytujemy zawsze Waszą ożywioną korespondencją. Połowę jej wręczyliśmy p. T. Z prac poetycznych skorzystamy o ile to będzie w naszej mocy; ilustracya do ballady będzie trudną niezmierznie; Zosia w „Panu Tadeuszu” rumieniła się tak uroczo, że chyba już żadne inne dziewczę piękniejszy rumieniec nie okraśi. Szcześć Boże w pocziwowych zamysłach, w pożytecznych pracach, w życiu rodzinnym. — **P. M. Orzechowski w B.** Uprzejmie prosimy o fotografię znakomitego inżyniera a brata sz. pana i o szczegóły z jego życia, przynoszące rodzinie i ziomkom tyle zaszczytu. Trzy numera wysłane. — **P. E. S. w Radomiu.** Bardzo dziękujemy. Z niektórych prac nadesłanych skorzystamy, ale nie rozumiemy uwagi o indykach i t. p. — **P. S. w Lubanówce chersońskiej.** Oplatek i list serdecznie pozostają w naszych pamiątkach. — **Zgorszonemu politykowi** (w Piotrkowie). Nasza wina! rzeczywiście

P. E. K. na Lesznie. Uczą w każdej szkole rzemieślniczej dla kobiet, za opłatą; o bezpłatnym nauczaniu nie wiemy. Można się dowiedzieć w szwalni Towarzystwa Dobroczynności, lub w zakładzie S-tej Marty przy ulicy Nowy-Swiat. — **P. Julia... w Książu.** Wszystko już wysłane. — **P. Apolinary Reuth w Starym Łomżyńcu.** Schemat ze zjawiskami w świecie roślinnym, wypełniony przez sz. pana, wręczyliśmy red. „Wszelchświata”. Będzie za niego wdzięczną. — **Nieznajomej.** Wierszyk „Noce”, jak na Zosię, wcale obiecujący, lecz od panny Zofii lepszego się wymaga. Czytać trzeba rzeczy dobre, uczyć się na pamięć i nie wierzyć tym, co wmawiają, że *wiadukty i produkty, miryady i girlandy, szturm i kolory...* to dzieci poezji. — **P. A. Kuciewicz w H.** Nie zupełnie. — **P. Marya J. w J.** Za szarady, logogryfy i t. p. nie dajemy żadnych honoraryów; za rebusy płatny jest rysownik i drzeworytnik. Łaskawi czytelnicy zasilają nas łamigłówkami w takiej obfitości, że tylko z małej ich części korzystać możemy. — **Gospodyni we dworze hr. T.** (stacya Kowel.) Najlepsze naczynia do spiżarni są kamienne; możemy się obejść bez fajansów zagranicznych — zgrabne garnuszki, czajniki i t. p. mogą służyć do śmietanki i t. p. nawet na stół „pański”. Fabryk naczyń kamiennych posiadamy kilka, najnowsza



Kolój napowietrzna.

Andrieux był przeciwny pożyczce a Wilson ją popierał; rzeczywiście pożyczka proponowana wynosiła 80 milionów a nie 60. Za przyznanie się do pomyłki, udzielił nam pan swego zapalu, z jakim walczysz o szczegóły obchodzące tylko francuzów. Czy z równą ciekawością badasz pan nasze stosunki miejscowe, czy wiesz ile Piotrków ma ludności, jakie są jego długi, który z panów radców miejskich najlepiej radzi. Żyłkę politykomanii warto zużytkować na korzyść własnego grodu. — **Skład nasion.** (Obywatelowi st. Radom.) Zaniechaj pan tego projektu; składów nasion jest już za dużo, wszyscy chcieliby tylko sprzedawać. I projekt sz. małżonki nie lepszy — magazynierki siedzą z założonemi rękami. Najlepiej radzi córeczka: trzymać się zagonu, wydatki ograniczyć do minimum, dom zorganizować choćby na stopę chłopską, byle tylko utrzymać się poddachem własnym. Mając takie pocziwe dziecko, nie powinienes pan narzekać; nie lekaj się dla córki schłopenia — jej prostota stokroć więcej warta niż śmieszna pycha, która kończy zwykle na wycieraniu cudzych kątów.

znajduje się w Brzostowej, gub. Radomska, dobra Ćmielowskie książąt Druckich Lubeckich, stacya Ostrowiec. Wyrabiają tam wszelkiego rodzaju słoje i słoiki, garnki i garnuszki, kamionki, waniutki, kałamarze, garnuszczyki malutkie jak naparstek, zgrabne lichtarze i t. p. Wyroby z kamienia czysto utrzymane są przyjemniejsze niż żelazne, cynowe a nawet najzylbrowe zaśniedziałe lub wytarte. Cennik fabryczny wyszedł z drukarni Noskowskiego, ulica Mazowiecka, n-r 11. — **P. Tur. w Łonży.** Fabryka wyrobów ze słomy i drzewa istnieje rzeczywiście w dobrach kutnowskich, należących do p. St. Zawadzkiego. Cennika tej fabryki nie widzieliśmy i nie wiemy czy istnieje. Stacya Kutno. Do blageryi tak zwanego dyrektora nie powracamy; skompromitował właściciela, niechże go teraz karci ten od którego bezpośrednio zależy. Lekkość oficyalisty nie obniża zasługi założyciela, który nie spostrzegł się, komu powierzył reprezentacyą swęj firmy. — **P. Butelka w Kaliszu.** Fabryk korków Warszawa posiada kilka; to przemysł bardzo prosty — toczą się korki z desek korkowych, odpowiednio przygotowanych. Przemysł ten jest w rękach izraelitów. Ze starych korków robią się... śmiecie; o innem zastosowaniu nie wiemy.

Treść numeru 581 Biesiady Literackiej, ilustracyi warszawskiej: Z Warszawy. — Herb na giełdzie, powieść Jana Zacharyasiewicza (d. c.) — Chcę, chciałbym (wiersz). — Z książki i z życia. — Zakładnicy lwowscy (1672), przez D-ra J. (dokończenie). — W parlamencie niemieckim. — Chcesz służyć Bogu, czy mamonie? — Kolój powietrzna. — Raptularz tygodniowy. — Gwiazda gaśnie, powieść Klaudyusza Maraisel (d. c.) — Listy polityczne. — Jak zwierzęta zimują? — Ze skarbem prawd. — Zadanie geometryczne. — Humorystka — Jak sobie radzić. — Rolnictwo, przemysł, giełda. — Gazetka. — Post-scriptum. — Przewodnik. — *Rysunki:* Przy rogatce warszawskiej. (Rysunek A. Ciemnińskiego). — Chcesz służyć Bogu czy mamonie? (Obraz F. W. Tophana) — Kolój powietrzna. — Rebus. — „Dodatek powieściowy” zawiera powieść z dziejów Hiszpanii: **Maurytanka**, arkusz 7.

Cena prenumeracyjna w Warszawie: rocznie rs. 5; półrocznie rs. 2 kop. 50; kwartalnie rs. 1 kop. 25. Na prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rs. 6; półrocznie rs. 3; kwartalnie rs. 1 kop. 50. Za dodatek książkowy z powieścią historyczną należy się jednorazowo rs. 1 kop. 50, z przesyłką rs. 2; lub ratami kwartalnymi po kop. 38; z przesyłką kop. 50. Prenumerata zagranicą jest taka sama; potrzeba tylko ruble i kopiejki zamienić na monety obce, przyjmując kop. 50 za markę a kop. 80 za złoty reński. Prenumeratę nadsyłać można wprost do naszej redakcyi w monecie krajowej lub obcej. Sumy drobne przyjmujemy w markach. Cena numeru pojedynczego kop. 15, z Dodatkiem kop. 20. Za zmianę drukowanego adresu kop. 20. Za rękopisma nadsyłane bez zastrzeżenia zwrotu Redakcyja nie odpowiada.

Adres: Księgarnia i Redakcyja Biesiady Literackiej w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Февраля 1887. — Biesiada Literacka wychodzi w każdy piątek. — Druk Emila Skińskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Biuro Redaktora-Wydawcy **Władysława Maleszewskiego**: Chmielna Nr 26.

„Pamiętnik fizyograficzny” nie zastąpiłby obcym owego morza mądrości, jakie się wylewa z akademii wszech nauk, ale dla nas jest stawem zarybionym gatunkami najprzedniejszego wyboru. Wybór właśnie stanowi wartość książki, która w poczuć swęj europejskiej wartości, przemawia i do obcych językiem łacińskim, objaśnieniami francuzkimi i rycinami. Pamiętnik sam już czuje, że skromność prowincjonalna byłaby dla niego przesadą; nie jest on łada rybką, której na funt wejdzie kopa i coś jeszcze, ale sztuką na którą biesiadnicy ciekawie zwracają spojrzenie.

Już rok szósty ludzi uczeni a poczciwi zastawiają społeczeństwu naszemu biesiadę naukową, na dwustu kilkudziesięciu kartach pięknie zadrukowanych i opatrzonych licznymi tablicami starannie litografowanymi. Kuchmistrzami głównymi tej uczty są profesorowie E. Dziewulski i B. Znatowicz; pomiędzy radą nadworną widzimy także same powagi naukowe a dostawcami produktów do tomu szóstego są meteorologowie, botanicy, geologowie, antropologowie i inni oracze przyrody. Księga zawiera dwadzieścia dwa artykuły; najobszerniejszy jest pracą d-ra Chałubińskiego o mchach tatrzańskich; z antropologii szczególnież zaciekawia G. Ossowski „Jaskinią Wierzchowsko-Górną” i Al. Szumowski inkrustowanym grotem ze znakami runicznymi. Niepodobna na tém miejscu wliczyć wszystkiego dobrego i wszystkich autorów; balibyśmy się zanudzić czytelników, którzy po łacinie nie umieją, na meteorologii się nie znają, od torfu chcą dobrego opału a nie popielnic; którzy pojadą do Birsztan na kuracyę ale nie będą, jak p. K. Łapczyński, badali ani źródła zdrowodajnego, ani bogatęj flory półwyspu birsztńskiego; którzy mieszkając w Tokarach, w Węglinie, w Wojtalach, Zadusznicach, Bednarach, Psarach, nie interesują się z p. J. Karłowiczem z czego te nazwy wyrosły, kto niemi ochrzcił miejscowość.

Tegoroczny Pamiętnik nie ma artykułów, które by się dały czytać jak opowiadanie, najeżony cyframi i imionami własnymi nie zdoła się podobać dyletantom naukowym, ale właśnie dlatego możemy się nim chwalić przed cudzoziemcami, którzy nas pomawiają, pono słusznie, o ślizganie się po wierzchu poważnej wiedzy. Nie szukajmy więc w Pamiętniku takiej przyjemności, jaką jest polka Eibla lub mazur Lewandowskiego, bo zawieziemy się okrutnie; ale powiedźmy sobie — minął czas złoty, uczyć się trzeba i w poście weźmy się do książki.

Jeden rozmiłuje się w jaskini ojcowskiej, w której łatwo zbłąkać się można i zginać z głodu; inny przerachowawszy liczne karty, na których d-r Chałubiński spisał mchy tatrzańskie, odwoła plotki puszczone w świat na rachunek „króla zakopańskiego” i powie: on tam pracował!

Ekskursye, jakie d-r Chałubiński praktykuje od lat kilkudziesięciu w Tatrach, otoczony sztabem górali i muzykantami z kapelmistrzem Sabałą, przybrały szatę legendy. Kto widział rażną postać profesora, kiedy o wschodzie słońca wychodził na kilkotygodniowe wycieczki lub kiedy wracał z miną odmłodzoną, tryumfującą, ten myślał sobie — bawi się wybornie! Ale niech zajrzy do Pamiętnika a przekona się, że owocem tej zabawy jest bogaty przyczynek do flory polskiej, że dnie spędzone na szczytach, noce w szalasach były ekskursyami naukowymi, którym żaden niemiec uczony nie umiałby nadać tyle swobody i poezji, jakiemi otoczył poważną pracę nasz profesor.

Niestety, w r. z. d-r Chałubiński musiał sobie odmówić rozkoszy, po jaką corocznie jeździ do swego folwarku w górach — koledzy-lekarze nie pozwolili mu ścigać się z kozicą i musiał ograniczyć wycieczki do spacerów po dolinach; nie zrzucił wprawdzie z pleców serdaka, jeździł wózkem powożonym przez góralkę, słuchał muzyki gęśli, ale kostur jego zarzucił w kącie. Była chwila, że mówiono o przymusowej emigracji z Zakopanego, a nawet o sprzedaży willi; jak kraj przebiega dreszcz obawy na wieść, że minister któremu naród ufa usunąć się chce od rządów, tak i Zakopane zdrząło, pochwycając plotkę o emigracji zakopańskiego króla pod ciepłe niebo Włoch. Na szczęście, plotka pozostanie plotką, czcigodny profesor i w tym roku wybiera się pod Giewont a o sprzedaży willi nigdy nie myślał. To pani Modrzejowska Zakopane zdradziła.

Czytamy w kuryerach zaproszenia do kupna jej willi za dziesięć tysięcy rubli; wiadomość jest faktem spełnionym, bo

choćby kupiec się nie znalazł, to artystka już nie opuści Ameryki, która widocznie stała się drugą jej ojczyzną i pierwszą kopalnią złota.

Panowie A., B., C... znani ze swęj hojności tam, gdzie się pokazać trzeba, nie kupią Pamiętnika. Pan A., zważywszy w rękę książkę, powie: — ciężka bo ciężka, ale co mnie może obchodzić meteorologia lubelska, kiedy mieszkam w Warszawie? P. B. spojrzysz na karty zadrukowane spisem paprotników i pomyśli sobie: — czemu nie opisano mojej oranżeryi? P. C. przyjrząwszy się siekierze bronzowej zakonkluduje, że nią ani indyka nie możnaby porządnie rozebrać, ani obciąć cygara. Takich krytyków nazbierałoby się na cały alfabet; na nich nie rachować nie mogą wydawcy Pamiętnika, więc pozostaje im nadzieja tylko w prelekcyach, które mają zażegnać deficyt, opłacić papier, drukarza i t. p. wydatki, do których nie należą ani zabiegi ani rozum współpracowników, co wszystko dają oni od lat sześciu darmo.

Cześć im! wołamy, ale to nie dosyć; choćbyśmy ich jak najwyżej podnosili na rękach — oni upadną, jeżeli prócz sentymentu nie pomożemy im materyalnie, nie rozkupimy książek, nie rozbierzemy wszystkich biletów na odczyty. Początek jest obiecujący, pierwsze odczyty prof. Dziewulskiego i Boguskiego zainteresowały ogół, widzieliśmy młodzież i starszych, a nawet kobiety chciwie wsłuchujące się w tajniki elektryczności. Siła to dziś modna i, jak prasa, stanowiąca potęgę rządzącą światem — daje ona światło i ciepło, daje więc życie; wysadza w powietrze miasta, okręty pali i z balonów sieje śmierć — czegoż więc od jej królewskiej mości żądać można? Uczni chcą, aby elektryczność wszystkie swe tajniki im powierzyła, a ludzie zwyczajni oczekują, aby przy elektryczności można było ogrzać się i ugotować strawę, żądają, żeby im z nią tak dobrze było jak ubogim w przytułku dobroczynnym. Wymagania wielkie a jednak słysząc wykłady naszych uczonych i patrząc na ich doświadczenia jesteśmy pewni, że przyjdzie czas, kiedy elektryczność będziemy sobie łapać w powietrzu, jak łapiemy motyle i sikory, że nastaną kłótnie o jej serwituty, jak dziś o las lub łąkę; ale czy nadejdzie chwila, kiedy nie trzeba będzie zwolować na naradę, aby obmyśleć ratunek dla starców bez kąta, bez rodziny?

Zwierz dziki ma swoje cmentarzysko; kiedy czuje skon wlecze się na nie, kładzie i nędzę swą kończy, a biedny człowiek nawet tego jest pozbawiony; choćby chciał się ułożyć na jakich mogiłkach, jak stary lew lub niedźwiedź, toby go wzięto do kozy lub obito. Dla tych starych a niedołężnych Towarzystwo Dobroczynności poszukuje przytułku, obmyśla opiekę — czyli potrzebuje pieniędzy. Gwałt widocznie jest wielki, kiedy nawet zamysłano sympatyczny „Teatrzyk dobroczynności” zamienić na schronisko; taki zamiar przynosi chlubę sercu członków Towarzystwa: kazali oni milczeć innym względem, tradycyi, sztuce pięknej, aby tylko bliźniemu dać ciepły kątek na zimę. I miała się stać wielka krzywda sztuce dramatycznej na korzyść Miłosierdzia; miały zamilknąć głosy utalentowanych amatorów, którzy na scenie malutkiej składali świadectwo swych talentów, nieraz wielkich a zawsze szlachetnych. Tego wandalizmu, jednak bez cech okrucieństwa, nie dopuścił hr. W. Walewski, którego energia jest elektrycznością w działaniach Towarzystwa, elektrycznością, która nie wypuszcza piorunów ale rozprasza ciemności, co oczom nie pozwalają dojrzeć dróg nowych a do duszy nawet odważnego człowieka sprowadzają lęklivość.

Hr. W. zwołał walne zebranie, przedstawił projekta i obudził dyskusye nad sposobami zebrania funduszu... prędko, nagle, bo starzec, jak dziecko, niknie w oczach. Projektów było dosyć ale zgodzono się, że koncerta, teatry, odczyty, wystawy i t. p. uważać trzeba za źródła pomocnicze, głównie zaś może pomódz dobroczynność publiczna — niech każdy da co może, da natychmiast, nie czekając aż się karnawał skończy. Dajmy choć tyle ile kosztuje półkopy pączków lub tort imieninowy; oszczędźmy choć jedno danie na wieczery balowej i na półmisku przygotowanym pod kosztowne delicje połóżmy napis: „Zjedli ubodzy”. Przy stole dobrego obywatela mało będzie takich łakomców, którzy złorzeczenia posłają ubogim za to, że ich pozbawili morskiej ryby lub ananasowych kremów; przeciwnie, tańce po wieczery miłosiernej pójdą żwawiej, biały mazur trwać będzie do rana.

Mam doskonały projekt, któryby Towarzystwu napędził sporo grosza — ale wykonać go można tylko za zgodą znakomitego gościa szwedzkiego, Nordenskjölda, który bawi właśnie w Warszawie. Gdyby go tak można skłonić do wygłoszenia prelekcji np. po szwedzku — bilety wejścia rozchwytanoby bez względu na ich wysoką cenę. Ale warunek, żeby uczony podróżnik mówił po szwedzku, to jest językiem, który kiedyś złowrogo rozbrzmiewał nad brzegami Wisły a dziś jest tak nam obcym jak język Japonii lub Chin. Właśnie ta oryginalność maskaradowa zaintrygowałaby wszystkich, a dla pożytku inny lektor mógłby odczytać szweda powtórzyć w tłumaczeniu polskiem. Wszyscy biegliby nie po to, żeby się dowiedzieć co słychać pod biegunem północnym, na którym uczony gość zna się tak dobrze jak my na książce do nabożeństwa, którą co niedziela otwieramy, ale żeby zobaczyć jak też prawdziwy szwed wygląda — czy tak jak ich Sienkiewicz w „Potopie” odmalował, czy jeszcze gorzej.

W swoim czasie sława tego szweda przebiegała całą Europę, a Biesiada umieszczała opisy i rysunki z jego podróży do bieguna, na Szpicberg, do północnej Syberii, z drogi przez niego odkrytej pomiędzy oceanami Atlantyckim a Wielkim. Odważny ten człowiek, syt sławy i zaszczytów, jeszcze tęskni do lodów, które go nieraz w gorszym obleczeniu trzymały niż Paryż prusacy; znowu wybiera się pod zimne niebo, które kiedyś patrzyło na palmy i granaty a w chmurach swoich hodowało słowiki i kolibry. Człowieka, który tyle mając na swę głowie, bo uczony podróżnik jest zarazem profesorem uniwersytetu sztokholmskiego, raczył Warszawie poświęcić dni kilka, powinniśmy wspominać sympatycznie.

Nordenskjöld odwiedził podobno wystawę obrazów Brandta, która w tej chwili już do wspomnień należy; z zajęciem wpatrywał się w „Wojnę chocimską” i pytał, czy niema na tym obrazie jakiego jego rodaka, a zadymką zimową, co hula po stepach ukraińskich, lubował się jak widokiem z pod bieguna — „Ja tego nie znam, to musi być piękne...” mówił. Temperament szwedzki rozgrzał się talentem naszego artysty.

Nie mogąc jechać pod biegun, chociaż mi na szczerę ochotę nie zbywa, wybrałem się pod Otwock do pustelni nad Świdrem, w której Andriolli założył sobie udzielne księstwo.

Mógłbym napisać konkursową rozprawę o tém, co silna wola zrobiła z kilku włók piasku i jałowej wody, ale artysta-rolnik prosił, abym pracy jego gospodarczej nie rozgłaszał. Dowiemy się o niej z najbliższej wystawy rolniczej, na której dziedzie Brzegów przedstawi gospodarstwo parobczańskie. Widzieliśmy na wystawach zamożność magnacką, szlachecką, chłopską... kobiecą i panieńską, aleśmy jeszcze nie widzieli parobczańskiej — zapomnieliśmy o kółku tak ważnym w maszynie rolniczej.

Nasz dzielny artysta dorabia się sam i przykładem daje ostrogę swoim sąsiadom chłopkom i mieszczanom. Kościół w Karczewie jest świadectwem hojności naszego ludu; świątynia została odnowiona z największą starannością a z takim sumptem, że na jeden ołtarz parafianie złożyli 800 rs.... bez pomocy balu panieńskiego i koncertu instrumentalno-wokalnego. Czcigodnemu a wielce światłemu plebanowi ks. Pyzałskiemu, kościół karczewski zawdzięcza swą piękną a nawet bogatą szatę; oddanemu swę parafii duchownemu pomógł także Andriolli, sąsiad Karczewa — namalował on energicznym pędzlem duży obraz ołtarzowy królewicza Ś-go Kazimierza. Nie nowiną są ofiary naszych artystów dla świątyń, ale to nas cieszy, że nowina nie starzeje się ani wietrzeje, że przykład ś. p. Hadziewicza i dziś ma naśladowców.

Przecież i malarze warszawscy pomyśleli o swoim ołtarzu; wprowadzie to tylko malarze pokojowi ale godni są tytułu artystów, skoro Matejko do ich koleżeństwa się przypisał. Mistrz krakowski pomoże swym talentem kolegom szeregowcom: przyrzekł namalować obraz Ś-go Łukasza do ich ołtarza a wynagrodzenia pieniężnego — tysiąc rubli... nie przyjął.

O takich dwóch grzybach szczerozłotych, do jednej misy włożonych, nie słyszeli nawet uczestnicy grzybobrania w Sopliowie, chociaż tam:

Grzybów było w bród...

SEP.

HERB NA GIEŁDZIE.

POWIEŚĆ

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

VIII.

W Pałaczkach panował w tej chwili jakiś zagadkowy niepokój; wraz z odpowiedzią, że pan Józef zaraz przyjedzie, przywiózł posłaniec listy i gazety z poczty.

Pan Achil siedział właśnie w aksamitnej bonzurce na fotelu i palił cygaro. Przy oknie siedziała pani Babeta, jak panią Achillesową powszechnie nazywano; dodawano do tego, że zacna małżonka górskiego półpanka nie była jego piętą, lecz głową, pan Achil radził się bowiem ję we wszystkich ważniejszych sprawach.

I w tej chwili toczy się między nimi rozmowa niemaléj wagi.

— Gdyby się tak stać mogło — mówił pan Achil — jak utyzumujesz, to chętnieby się zgodził.

— Wszak to — odpowiedziała Babeta — od nas tylko zależy; z początku był nieśmiały, ale Aurelia zbliżyła go już do siebie. Szalony pojedynek dowodzi, że się nią zajął... mimo pierścionka tamtej narzeczonej.

— Ta Konopówka stoi mi bardzo w drodze. Gdy się po okolicy rozniesie, żeśmy ich poderwali, gotówbym nie dostać głosów na prezesa rady powiatowej.

— Śiksowałeś już na tym punkcie, mój drogi; sprawę publiczną jesz trzy razy dziennie.

— Tą drogą można dzisiaj dojść do czegoś.

— Ale można także nas wszystkich zanudzić. W salonie naszym od niejakiego czasu taka mieszanina, że sama nie wiem, co komu powiedzieć. Wielkie szczęście, że Aurelia umie mnie wyręczyć.

— Inaczéj nie moglibyśmy dzisiaj naszych planów dokonać.

— Widać, że się już wprawia do przyszłej roli swojej.

Pani Babeta westchnęła, rozkoszne ale wyblakłe obrazy przesunęły się przed nią. Marzyła o świetniejszych związkach dla swojej jedynaczki... a dzisiaj trzeba aż odbijać drugim chudopacholka, któremu szczęście posłużyło. I czy się jeszcze to uda?

— Gdzie Aurelia?

— Wyjechała konno na spacer ku laskowi.

Pani Babeta wyjrzała przez okno, a pan Achil uśmiechnął się z zadowoleniem do sinych kólek dymu, które wydumuchwał przed siebie. Myśli małżonków były w tej chwili jednakowe: pod laskiem prowadziła drożyna do przysiołka pana Michała; jadąc do Pałaczk mogł spotkać Aurelię...

— Aurelia dobrze chodzi koło swojej sprawy — zagadnął pan Achil, puszczając większe koło dymu.

— Czy ma się zanudzić na śmierć w tych górach? — odpowiedziała z westchnieniem pani Babeta.

Nastąpiła długa pauza. Pan Achil przypominał sobie teraz, że na stole leżą gazety; sięgnął po nie.

— Jak widzę, już się bierzesz do polityki.

— Chciałem tylko dokończyć procesu o morderstwie.

— W takim razie nie wezmiesz mi za złe, że cię opuszczę; nie lubię krwi.

Podniosła się pani Babeta z miękkiego fotelu i wyjrzała jeszcze raz oknem na drożynę pod laskiem, zwróciła się ku drzwiom, żegnając małżonka lekkim skinieniem głowy. Pan Achil otworzył gazetę.

Jeszcze słychać było z przyległych pokoi lekki szelest sukni jedwabnej, gdy pan Achil na równe nogi z fotelu powstał. Trzymał przed oczyma gazetę i gorączkowo w nią czytał; twarz jego przybrała dziwny wyraz niepokoju, oczy nieruchomie patrzyły w jedno miejsce.

Stał czas niejaki jak posąg. Przyszedłszy do siebie, zwrócił się szybko ku drzwiom.

— Babette! — zawołał zmienionym głosem.

Szelest sukni zbliżył się do niego.

— Czy mnie wołasz? — zapytała małżonka.

— Rzecz okropna!

— Czy znów kogo zamordowano?

— W Wiedniu liczne bankructwa! Banki i towarzystwa upadają... Wexlarz, u którego pan Józef ulokował swój kapitał, aresztowany za podstępne bankructwo.

Pani Babeta osłupiała.

— Czyż to być może?

— Jest tłusto wydrukowane.

— Może fałszywy telegram?

— Jest ich kilka — wszystkie się zgadzają.

— Więc pan Józef mógł wszystko stracić?

— Oczywiście.

Nastąpiła długa pauza.

— Wszędzie się nam urywa!

— Takie nasze przeznaczenie!

Znów zapanowało milczenie.

— Cóż teraz robić?

— To zmienia postać rzeczy.

— Naturalnie.

— Trzeba Aurelii o tym powiedzieć.

— Aby przynajmniej nie angażowała się do niego.

— Dlaczegoż ona nie wraca?

Pani Babeta niespokojnie wyjrzała na drożynkę pod lasem; na drożynie było pusto, tylko tam daleko wlecze się górski wózek, nakryty białą płachtą. Przed nim krąży stado wron.

— Nie widać nikogo! — zawołała niespokojnie pani Babeta, ani Aurelii, ani...

Urwała i z większym jeszcze niepokojem wychyliła się za okno.

— Dziwnym by to było — odrzekł pan Achil — gdyby właśnie w tej chwili spotkali się z sobą.

— Cóżby to mogło wpłynąć na dalszą sprawę?

— Mogłaby się jakim słowem zobowiązać.

— Nie jest przecież dzieckiem, a gdyby nawet coś mu więcej powiedziała, potrzeba jeszcze naszego zezwolenia. O to wcale się nie obawiam.

— Zależy mi jednak na tym, aby nie drażnić sąsiada. Wobec gotujących się wyborów mogłoby to mi zaszkodzić.

— Zawsze ci polityka w głowie!

— Nawet z panem Józefem tak spolitykować, aby on nie wiedział, że mu odmawiamy. Trzeba żeby uwierzył, żeśmy o tym wcale nie myśleli.

— Naturalnie, grzecznie i uprzejmie.

— Byle tylko Aurelia z nim się nie spotkała. Serca kobiece są zawsze wrażliwe na takie rzeczy jak pojedynek; wtedy musiałaby się cofać, a szlachcic drażliwy i butny. To mi nie pókoj.

— Trzeba wysłać po nią chłopaka.

— Masz rację, Babetko.

Pan Achil sięgnął właśnie po dzwonek, aby rozkaz żony wypełnić, gdy na drożynie pod lasiem wzbil się tuman kurzu. Na tle szarych kłębow zarysowała się postać amazonki w błękitnym woalu przy kapeluszu; za nią w dalekim odstepie gallował służący.

Pani Babeta wydała okrzyk podziwienia; pan Achil zrozumiał go i zbliżył się także do okna.

Oboje zapomnieli w tej chwili o gorzkich zawodach. Pan Achil był zamlodou dobrym jeźdźcem i wysoko cenił tę sztukę; w żonie swojej zakochał się właśnie podczas wycieczki konnej nad brzegami morza Śródziemnego. Aurelia odziedziczyła talent po rodzicach, a nawet prześcignęła ich.

— Olgierd prezentuje się jeszcze dobrze — ozwał się pan Achil — sady szeroko i z fantazją. Czysta angielska krew... kosztował wiele... ale też takiego wierzchowca niema w całym naszym powiecie.

— Ależ i Aurelia dzielnie nim kieruje... Jakaż dzisiaj ta młodzież nasza! Dawniej biliby się o taką pannę... Pamiętam, gdyśmy w Praterze z hrabianką Izią konno jechały, wszyscy wiedeńscy zdejmowali przed nami kapelusze; jeszcze tego sa-

mego dnia przedstawił się nam hr. Miklosz Ujdahely i baron Sternhimmel. Gdyby nie to, że jeden był trochę kulawy a drugi garbaty, zostałabym żoną jednego z nich, jak to sobie matka życzyła. Obaj byli niezmiernie bogaci.

Pan Achil uznał za stosowne ucałować drobną rączkę Babety, że nie chciała zostać hrabiną węgierską, ani saską baronową. Przypomnił sobie, że nie jest teraz czas, aby dawne wspomnienia odgrzewać, lub skarżyć się na niewdzięczność świata, że Aurelia mimo tak dzielnej jazdy konnej, dotąd nie dojechała do portu małżeństwa. Trzeba było wrócić do niemiłej sytuacji, jaka się teraz gotowała; a czas był wielki, bo tam daleko na samym garbie góry zamajaczył punkt szary, podobny do wózka pana Józefa.

— Rozmów się sama z Aurelią — rzekł do żony — ja niby o tym nie będę nic wiedział.

— Tak samo i ja myślę — przygotuję ją do rozmowy z panem Józefem... Czy będziesz z nim mówił o Wiedniu?

— Można będzie później tę sprawę poruszyć.

— Sądzę, że wcale o tym nie trzeba wspominać; udamy, że nic jeszcze nie wiemy. Będzie to dowód, że nie kierujemy się interesem.

Pan Achil przyznał słusność małżonce i gazetę z telegramami przykrył grubą warstwą papierów. W tej chwili zarył Olgierd kopytami przed gankiem, a pani Babeta szybko wyszła do swoich apartamentów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Chcę, chciałbym.

Dwa słowa mkną się z doczesnym życiem:
To uwielbienie, tamto żal budzi;
Jedno jest silnej duszy rozwiciem.
Drugie — pociechą słabnących ludzi.

„Ja chcę!” — jest silnej woli oddźwiękiem,
Wstrząsa pałac, wstrząsa poddasze;
„Ja chciałbym” — żal to tłumiony jękiem;
Obydwa słowa — to życie nasze.

„Ja chcę” — to język wiary i siły;
„Chciałbym” — to wietrzyk szumiący zdala;
Tamto żelazne wieki mówiły —
To szepcze gwiazda co się dopala...

„Ja chcę!” — to słońca jasne promienie,
To śmiałej myśli polot skrzydlaty;
„Chciałbym” — to nędzy ciche westchnienie,
Kiedy przez rdzawe spogląda kraty.

„Ja chcę!” — powtarza człowiek bez drżenia,
Który już zwalczył przeciwnie losy;
„Chciałbym” — to słabe echo marzenia,
To nieśmiałego życzenia głosy.

„Ja chcę!” — to słowo wyższe nad wroga,
I losy zwalcza, i światem wzrusza;
Lecz kiedy głos ten ma dojść do Boga —
To wtenczas „chciałbym” niech szepcze dusza!

W. ROMANOWSKI.

Z KSIĄŻKI I Z ŻYCIA.

Stuletni jubileusz Galvaniego. — Oryginalne wynalazki. — Efemerydy mody. — Judie i Lebel. — Dzisiejsza taktyka militarna. — Dwa geniusze ludzkości. — Assirelli o równouprawnieniu kobiet.

Na jednym z placów Bolonii wznosi się piękny pomnik, poświęcony pamięci Ludwika Galvaniego. Rzeźbiarz rzymski przedstawił go w chwili, gdy dotknięciem łuku z miedzi i cynku, wywołuje ruchy w martwej zabie. Godzi się poznać bliżej męża, któremu przed stu laty udało się odkryć jedną z najbardziej tajemniczych sił przyrody — elektryczność zwierzęcą.

Pewnego wieczoru 1780 r., Galvani, który był wówczas profesorem anatomii na uniwersytecie bolońskim, powtarzał z kilkoma uczniami zwykle swe doświadczenia nad drażliwością nerwową zwierząt, a w szczególności żaby.

W tym celu odzierał szybko żywą żabę ze skóry i odcinał nożyczkami członki dolne od tułowia, pozostawiając tylko dwa najbardziej rozwinięte nerwy lędźwiowe. Na nerwach tych, jak na nitkach, wisiały dolne członki zwierzęcia.

Spreparowawszy tak żabę, Galvani położył ją bez żadnego zamiaru na stolyczku drewnianym, służącym za podporę maszyny elektrycznej, a sam wyszedł z laboratorium.

Zdarzyło się, że jeden z uczeni jego, kończąc wycinanie nerwów żaby, dotknął przypadkowo samych nerwów końcem skalpela: natychmiast członki dolne ściągnęły się, jakgdyby pod wpływem kurczu konwulsyjnego.

Zjawisko to niezwykle zadziwiło wszystkie osoby obecne w laboratorium; pomiędzy nimi była i żona Galvaniego, Łucya, która charakterem i rozumem wywierała wpływ na losy i prace sławnego anatomisty. Łucya pierwsza spostrzegła, że kurcze żaby pojawiały się wówczas tylko, gdy wydobywano iskrę z pobliskiej maszyny elektrycznej; powtórzone kilkakrotnie doświadczenie potwierdziło to w zupełności.

Kiedy Galvani powrócił do laboratorium i zrobił sam doświadczenie, niemniej od innych był zdumionym.

W gruncie rzeczy jednak zjawisko, choć nie zauważone dotąd przez nikogo, samo w sobie było dosyć proste; było ono następstwem tego, co w fizyce nazywają *wstrząśnieniem elektrycznym przez odbicie*, wstrząśnieniem, którego skutki objawiają się na wielką skalę podczas wyładowywania się elektryczności z chmury burzliwej.

Rozpostarta szeroko chmura naładowana elektrycznością, oddziaływała *przez wpływ* na wszystkie ciała znajdujące się w sferze jej działania; wszystkie przedmioty, cała powierzchnia ziemi leżąca w obrębie chmury, elektryzują się pod jej wpływem. W chwili gdy piorun pada w pewne miejsce, chmura przestaje natychmiast działać elektrycznie na okoliczne ciała; odtąd ciała te przechodzą ze stanu elektrycznego w stan obojętny.

Ten nagły powrót do stanu naturalnego, ta niespodziana rekompensacja elektryczności, wywołuje w ciele ludzkim lub zwierzęcym wstrząśnienie gwałtowne, niekiedy śmiertelne, nazywane *odbiciem*.

Zupełnie to samo działo się z żabą Galvaniego. Ciało jej znajdując się w pobliżu działającej maszyny elektrycznej, elektryzowało się pod jej wpływem i pozostawało w tym stanie, dopóki konduktor maszyny naładowany był elektrycznością. Z chwilą jednak uwolnienia się z maszyny całej swobodnej jej elektryczności, ciało żaby naelektryzowane przechodziło nagle w stan obojętny, naturalny. Żaba świeżo zabita jest wyborem elektroskopem i zdradza obecność najsłabszej dozy elektryczności w stanie wolnym.

Galvani należał do tych wielkich miłośników prawdy, którzy nie cofają się przed żadną próbą niebezpieczną i bodaj kosztem życia usiłują zdobyć dla nauki nowe światło. Na szczycie swego domu kazał wzniesić zastrzony pręt żelazny; drut metalowy, połączony z prętem, sprowadzał do laboratorium jego elektryczność z atmosfery. Koniec tego drutu, zgięty haczykowato, przechodził przez mięśnie i nerwy lędźwiowe zawieszonę żaby; każda błyskawica wywoływała gwałtowne kurcze mięśni, pojawiały się nawet bez błyskawic, gdy niebo zamglone było chmurami.

Trzeba podziwiać odwagę nieustraszonego fizyka, gdy czyta się szczegóły doświadczenia robionego przezeń 1 kwietnia 1786 r.: Galvani wszedł na szczyt domu i trzymał w rękach pręt konduktora w chwili uderzenia piorunu!

Pracując wytrwale nad badaniem jednego i tego samego zjawiska, Galvani doszedł po wieloletnich bezowocnych próbach, do zaobserwowania faktu, będącego zasadą jego odkrycia.

20 września 1786 r., przygotował jak zwykle żabę i przekłówszy jej mlecz haczykiem miedzianym, zawiesił ją na balustradzie żelaznej, otaczającej taras pałacu Zamboni, gdzie mieszkał. Dzień był spokojny i pogodny; doświadczenie to powtarzał poprzednio wielokrotnie, lecz bez skutku; od czasu do czasu wychodził na taras zobaczyć co zaszło. Pod koniec dnia,

znudzony długotrwałą i bezużyteczną obserwacją, wziął haczyk miedziany, zatknął go w mleczu żaby, i potarł nim szybko baryerkę żelazną, by uczynić tém zupełniejszym zetknięcie się metali. Natychmiast dolne członki żaby zaczęły się kurczyć; ruchy te powtarzały się za każdorazowym zetknięciem miedzi z żelazem. Niebo było zupełnie pogodne i nic nie zdradzało elektryczności swobodnej w atmosferze.

Zjawisko zauważone na żabie było niezależne od jakiegokolwiek przyczyny zewnętrznej i pochodziło od szczególniejszej siły żaby. Tak więc owa elektryczność zwierzęca, którą Galvani zawsze przypuszczał, istniała rzeczywiście; teoria stała się faktem pozwalającym się sprawdzić.

Spostrzeżenie to rozwarło przed Galvanim cały szereg zjawisk zupełnie nowych, nieznanych. Bez tej cudownej cierpliwości, z jaką Galvani przez kilkanaście lat badał jedno z najmniejszych zagadnień nauki, nie znalazłbyśmy dotąd najogólniejszej, najpotężniejszej ze wszystkich sił fizycznych: elektryczności w ruchu.

Ktoś powiedział, że geniusz to cierpliwość; określenie to stosuje się zupełnie do anatoma bolońskiego. Częstokroć bowiem geniusz nie jest niczem innem jak uważnym i inteligentnym zaptanianiem się w jednej myśli.

Sto lat zaledwie oddziela nas od Galvaniego a już elektryczność, która wówczas nie przekraczała gabinetu uczonego, rozwiła się w życiu, zmieniła doszczętnie warunki jego i niema dnia aby jakiego nowego nie znalazła zastosowania.

W wieku naszym, dość jałowym pod względem twórczości poetycznej, podziwiać doprawdy trzeba bujność imaginacji panów wynalazców.

Niejaki Henryk Roget, pragnąc uprzystępnąć uczniom naukę elektryczności, radzi do teorii dodać praktyczny jej wykład na ich własnej skórze. Wymyślony przezeń przyrząd jest to w zmienionej postaci *cat o' nine tails* (dyscyplina dziewięciorzemienna), której rzemienie zastępują druty metalowe, połączone z konduktorem maszyny elektrycznej. Winnego kary przywiązują do przyrządu i wyliczają mu pewną dozę iskieł, mniej lub więcej silnych. Nowy ten system chłosty posiada tę wyższość nad dawnym, że nie pozostawia żadnego śladu odebranych rąk; co więcej, ból nie trwa dłużej od wymiaru kary.

Paradne, nieprawdaż? Niepodobna poprzeć teorii bardziej *bijącymi* dowodami.

Inny znów, chcąc osłodzić ostatnie chwile delikwenta, wymyśla dlań gilotyne elektryczną. Przyrząd niema w sobie nic strasznego: w pośrodku podniesionej estrady stoi wygodny fotel, na który rad nie rad siada winowajca; poza fotelem wznosi się posąg, wyobrażający Sprawiedliwość z wagą w ręku. Waga jest ruchoma i ona to wprawia w ruch mechanizm przyrządu.

Pod estradą pomieszczona jest bateria elektryczna, której druty wchodzi w siedzenie i kończą się blaszkami platyny. Po odczytaniu przez prokuratora wyroku, kat łamie drążek i rzuca kawałki jego na szalę, która opuszczając się, wprawia natychmiast w ruch baterię.

Śmierć następuje w mgnieniu oka. Przyrząd iście cudowny! brak mu tylko... pozytywki, któraby w danej chwili wygrywała modne kawałki operetkowe.

Ach! ta moda! jak mało trzeba, aby stać się niewolnikiem jej kaprysu, jak mało, aby ze sławy popaść w zapomnienie. Nie tak dawno cała prasa paryzka, cały świat elegancki zajęty był Succim; wkrótce zapomniano o nim dla Merlattiego. Patrząc na to, niewiedomo nad kim się bardziej litować: czy nad maniakiem, czy nad publicznością. I posty się przejadły — przyszła moda na kanały; spacerowano po nich jak po lasku Bulońskim; przyjaciele, znajomi żegnali się mówiąc: „Do zobaczenia dziś popołudniu w... kanale.”

Pomimo tylu wrażeń cześć jakaś i pustka w sercach. Na chwilę spókoj zamącił pewien impresaryo niemiecki, który chciał Judic zaangażować do Berlina; oburzyło to w najwyższym stopniu szowinizm francuzki. Judic, gwiazda sceny paryskiej, miałaby występować w Berlinie? Nigdy! krzyczano z oburzeniem; zuchwalsi wołali: Nie Judic im pošemy, lecz Lebel.

Tak nazywają tu najbardziej udoskonalony system strzelby *à repetition*, w którą wkrótce zaopatrzoną zostanie cała piechota francuzka. Wprowadzenia jej domaga się patryotyzm. Jak tylko izba zawołuje bagatelkę — kredyt 200 milionów na potrzeby

armii, puszkarzom nie zabraknie zajęcia. Utrzymują, że Francya niedługo czekać będzie na wypróbowanie skutków nowej broni.

Tak, strzelba Lebel, pomimo wszelkich protestów humanitarnych, jest orężem przyszłości. Godne uwagi są z tego względu słowa jenerała niemieckiego Schellendorfa: „Z repetyerką—powiada—będzie to samo co z iglicówką; po pierwszej wojnie wszystkie państwa będą ją miały u siebie.”

Przypatrzmy się chwilę tej idealnej broni; łączy ona w sobie lekkość z możliwością wyrzucenia na wielką odległość kulki możliwie lekkiej, z możliwie wielką prędkością początkową. Pocisk ten jest to miluchna kulka ołowiana, przybrana w koszulkę ze stali i cyny; przeszywa powietrze z zdumiewającą prędkością 540 metrów na sekundę. Siła jej jest tak wielka, że po przebiegu kilku desek uderza prosto w cel na 500 metrów odległy, nie zbaczając nic z swego kierunku. Ładunki znajdują się w kolbie; strzelać można bez przerwy aż do wyczerpania się całego zapasu naboju.

Broń taka jest korzystną głównie z tego względu, że pozwala organizować ogień raz ciągły, raz przerywany, mogący w miarę potrzeby przybrać rozmiary huraganu. Armia z tą bronią będzie miała zawsze wielką wyższość *moralną* nad armią walczącą bez niej; w ogóle bowiem dążeniem dzisiejszym jest nie tyle ogień celny, utrzymywany przez strzelców wyćwiczonych, ile raczej ulewa kul wypuszczonych przez nowicuszów, z jakimś takim wykształceniem wojskowym.

Ależ, powie kto, wojna z taką bronią nie jest wojną ale rzezią. Zapewne; bo czyż można przypuścić, że geniusz niszczenia na tym się zatrzyma? Geniusz ten nie próżnuje: mamy pod ręką broszurę, której autor zaleca wprowadzenie maszyn strzelających, któremi z wałów fortecznych można będzie w nocy pustoszyć całe okolice ogniem zabójczym. Od nocy do dnia już krok tylko: olbrzymimi maszynami piekielnymi tępić się zacznie ludzkość ucywilizowana. A potem? Gdy nie podobna będzie prowadzić walki na ziemi, prowadzić ją będą w powietrzu; a potem? Bóg jeden wie...

Cale szczęście w tym, że obok geniuszu zniszczenia nie mniej potężnie działa geniusz zachowawczy człowieka; gdy jeden technicznie nienawidzi i chęcią zagłady, drugi nęci nas słodyczą na łonie pokoju i miłości.

Może nie powiem zawiele, mówiąc, że tym geniuszem zachowawczym ludzkości jest—kobieta, że ona łagodzi dzikie, niszczące zapędy mężczyzny i hamuje żądze ambicji jego. Herkules snujący przędzę u nóg Omfalii, to obraz nieokiełzanej siły męskiej, ujarzmionej potęgą słabości niewieściej.

Od pewnego czasu jednak kobiety zaczynają coraz częściej targać się samochcąc na swą władzę i występować w roli niewłaściwej dla istoty przeznaczonej do panowania tam, gdzie panowanie mężczyzny się kończy. Pośród tylu walk, nurtujących w społeczeństwie nowożytnym, niepoślednie zajmuje miejsce walka kobiety o *bezwzględną* równość z mężczyzną; że w walce tej nic nie wskóra a wiele stracić może, przewidzieć nie trudno.

Mam przed sobą nową książkę: „*La famiglia e la società*” Piotra Assirelli, premowaną na konkursie we Włoszech. Posłuchajmy jak zasłużony pisarz zapatruje się na tę kwestyę.

Dziś—pisze Assirelli—kwestya przyszłości kobiety waży się pomiędzy dwoma różnymi wynikami: jeden jest owocem badania naukowego, drugi egzaltacji uczuciowej. Jeden bada wyższość kobiety pod względem systemu nerwowego i budowy organów; drugi, opierając się na wywodach logicznych, na zasadach postępu, sprawiedliwości i t. p., skłania się do wyemancypowania kobiety, przyznania jej praw cywilnych, wpływu politycznego, dostępu do wszystkich godności społecznych i dochodzi ostatecznie do rozwiązania węzła małżeńskiego.

Każdy patrzący bezstronnie przyznać musi, że kobieta skutkiem właściwej sobie natury, zdolną może być tylko do tego, co się tej naturze nie sprzeciwia, co nie obraża uczucia wstydu i uczciwości.

Kobiety, które praktykują sztukę medyczną, farmaceutyczną, a jeżeli mają dość siły duszy, chirurgiczną, czynią zadosyć *rzeczywistej* potrzebie nowożytnych społeczeństw, gdyż w zajęciach tych mogą zużytkować przyrodzone swe cnoty: pobożność, cierpliwość i miłość. Nie sądzę jednak, aby społeczeństwo czuło *potrzebę* widzieć kobietę w gronie adwokatów, deputatów, ministrów.

Stanowisko kobiety w społeczeństwie zakreśliło jej posłannictwo naturalne: wychowywanie potomstwa, i dlatego państwem jej jest rodzina.

Spółczeństwo, które pod pozorem wymagań postępu, rozluźnia węzły rodzinne, nadając zbyteczne swobody kobiecie, zapomina o tym, że siłę swą dzisiejszą zawdzięcza właśnie tych węzłów ścisłości. Gdy system rodzinny jest rozprzężony, gdy prawa moralne i naturalne spaczono, gdy kobieta przez złe zrozumianą dążność społeczną przestaje być kobietą a staje się czemś sztucznym i fałszywym, jest to znak niezawodny upadku społeczeństwa.

Historja o tym przekonywa.

GWAREK.

ZAKŁADNICY LWOWSCY (1672).

PRZEZ

D-ra Antoniego J.

(Dokończenie.)

Na wyżej wzmiankowanym sejmie, żona jednego z zakładników, sławetna Maryanna Affendykowa, kupcowa wcale poważna, uwolniona została „od cel i myt, od wszelkich towarów tak lądem jako i wodą idących, tudzież od wszelkich ciężarów, podatków i powinności miasta Lwowa” (*). Z kamienicy jej nie wolno wybierać stacyi podczas bytności królewskiej, ani też podczas zjazdów publicznych. Wiemy z kądinąd, że równie korzystne przywileje zdobyła żona drugiego zakładnika p. Laurysiewiczowa (**). Rzeczpospolita robiła co mogła, żeby zabezpieczyć rodziny w zastawie przebywających jej obywateli.

Nareszcie w 1679 r. wszelkie rachunki załatwiono, czterech patrycyuszów lwowskich wyzwolili władze tureckie, po siedmiu latach niewoli wracali oni do rodzinnego miasta... Nie wybiegł jednak tłum na ich spotkanie, dzwony świątyni nie odezwały się radośnie, urzędnicy magistratu nie ruszyli ze swoich kurulskich stołców, ani jednej nawet mówki, choćby skromnej oracyi nie wygłoszono na cześć owych bohaterów... I nie dziwnego, do stanu uprzywilejowanego nie należeli, a choć sterali zdrowie, wypłakali oczy, zrujnowali się pod względem materyalnym *pro publico bono*, ale zawsze byli to tylko sławetni obywatele miejscy, a i poświęcenie, i nagrody, i oklaski za te poświęcenia, uzurpowali sobie indygenaci na swoje własną, wyłączną korzyść... Jeden tylko Butachowicz czekał na nich u furty miejskiej; pilno było rzewnemu kochankowi Kamieńca zobaczyć ludzi wracających z tamtąd, sam on także niedawno przybył do Lwowa, tułał się bowiem po Bałkanie Macedońskim, stróżując wizerunkowi Najświętszej Panny Ormiańskiej, wywiezionemu z kresowej warowni... Dziś choć był między swoimi, tęsknił jednak do owej skały, kędy ujrzał światło dzienne...

W lat kilka dopiero, bo w 1683, dziękowali mieszczenie jego królewskiej mości, uroczyście, przez pośrednictwo swych „ablegatów,” za uwolnienie zakładników z więzów mużulmańskich. Prosimi nadto, na zasadzie instrukcyi sejmiku Wiszeńskiego, by Rzeczpospolita obmyślała wynagrodzenie dobrowolnym za kraj niewolnikom i pozostałym po nich rodzinom. W końcu starają się—„aby konstytucya pani Affendykowej na sejmie grodzieńskim dana była kasowana” (***). W 1685 i o pani Laurysiewiczowej nie zapomniano (****). I stało się według przysłowia, które powiada, że poświęcenie poświęceniem, a interes interesem. Panie te bowiem, otrzymując na mocy przywileju towary nieocłone, tym samym znacznie taniej wyprzedawać je mogły, imi więc kupcy konkurencyi z nimi wytrzymać nie byli w stanie, a cóż dopiero, kiedy obok połowice stanęli ich doświadczeni mężowie.

Niepokój ztąd wielki powstał w lwowskim świecie handlowym. Czy wsparcie dla byłych zakładników potrafili wyjednać, nie wiemy, to tylko pewna, że czcigodne kupcowe długo korzystały z przywileju wyjątkowego, bo oto w 1690 patrycyat wy-

(*) Vol. Leg. V, 285.

(**) Sadok Barącz. Pamiętnik dziejów polskich, s. 96.

(***) Sadok Barącz. Pamiętnik, s. 96.

(****) Sadok Barącz, l. c. s. 96.

stosował ichmość p. ablegatom poważną instrukcją, z czternastu pozycyją złożoną; w jedenastej wzmiankowano, jako skarb koronny winien znaczne sumy miastu Lwowu, „osobliwie, które na okup nieprzyjaciół koronnym tak często wyłożone były,” więc się o ich zwrot gorąco upomnieć mają. A na końcu dodatek, nieopatrzony paragrafem, jakby nieśmiało wtrącony, jakby wymówka obrażonego uczucia: „A panu Affendykowi konstytucya *non contribuendi cessavit*, on powróciwszy z Kamieńca, handluje z zięciami dwoma bez żadnych podatków” (*).

Na tém się urywają źródła nasze; dalsze losy dobrowolnych uczestników niewoli nie są nam znane, wreszcie nie mają tak wielkiego znaczenia... szło nam bowiem przeważnie o czyn ofiary, o udowodnienie, że i drobiazg poza uprzywilejowanym stanem stojący, kochał kraj i życie gotów był dla jego ocalenia poświęcić. Ale tę ofiarę stan szlachecki, uprzywilejowany wówczas, mało sobie cenil.

W PARLAMENCIE NIEMIECKIM.

RYSUNEK Z NATURY.

Ciekawym zapewne będzie dla naszych czytelników opis areny, na której ściera się najpotężniejszy reprezentant potęgi niemieckiej z przedstawicielami narodu. Wielkie jest podobieństwo parlamentu do pogańskich cyrków, gdzie kilku walczyło a reszta przysłuchiwała się, klaskała lub sykała. Niema dziś wprawdzie lwów i tygrysów czworonożnych, niema półnagich gladiatorów ale ten sam duch porusza namiętnościami przeciwników—jedni chcą zwyciężyć siłą, drudzy sprawiedliwością.

Każdy cudzoziemiec łatwy ma przystęp do Reichstagu; niech tylko przedstawi się w biurze prawodawczém i zażąda biletu wejścia, a natychmiast go otrzyma.

Przez obszerny przedsionek, w którym stoi na straży pompatyczny szwajcar w stosowanym kapeluszu, z laską o złoczonej gałce w ręku, przechodzi się do sali „Straconych kroków” lub do trybuny oznaczonej na bilecie. Dokoła sali ustawione są ławki pokryte zieloną skórą i stoliki opatrzone w przyrządy do pisania. Wzdłuż ścian wiszą medaliony Fichtego, Steina, Arndta, Schillera, Uhlanda i innych półbogów niemieckiego Olimpu. Po prawej stronie znajduje się bufet; po lewej sala depesz i prasy; w pośrodku drzwi wchodowe członków Reichstagu.

Parlament niemiecki ukształtował się na wzór parlamentów Anglii i Francyi, od których zapożyczył zwyczaje, które mu się wydały najpraktyczniejszemi; widzimy więc w pośrodku sali trybunę i stół z szufladami dla chowania dokumentów, jak to ma miejsce w Westminsterze. Krzesła deputowanych rozstawione są w tym samym porządku jak w parlamencie francuzkim, a mówca może każdej chwili wstąpić na trybunę i stać czoło zebraniu; może też przemawiać ze swego miejsca. Trwanie posiedzeń zato jest czysto germańskiej natury; przeciągają się one od 10-jej zrana do 3-jej popołudniu. Koło południa każdy idzie posilić się w bufecie; o 4-jej lub 5-jej wszyscy się rozchodzą do domów.

W sali posiedzeń-na wzniesieniu znajduje się biuro prezydenta, po obu stronach są biura jego sekretarzy; trybuna jest poniżej. Z dwóch stron tej ostatniej, przedzielony od sali ciężką balustradą, jest balkon przeznaczony dla członków *Bundesrathu*, czyli rady federacyjnej, mianowanych przez różne prowincye cesarstwa. Członkowie ci, w liczbie czterdziestu czterech, zasiadają na dwóch rzędach krzeseł. U podnóża balkonu, naprzeciw trybuny, jest stół członków Izby; po obu stronach znajdują się pulpity stenografów. Dalej stoją ustawione w półkole 397 krzeseł skórzanych, na których zasiadają deputaci; siedzenia te symetrycznie przedzielone pustymi promieniami, dają całości pozor olbrzymiego wachlarza. Ponad fotelem prezydenta i wzdłuż obu ścian sali, ciągną się galerie przeznaczone dla publiczności, dyplomatów i urzędników, oraz miejsca dla przedstawicieli prasy.

Poza trybuną znajdują się trzy redakcyjne sale, wygodnie urządzone; drugie trzy salony przeznaczone są dla prezydenta, oraz dla prezesa rady związkowej i dla kanclerza państwa.

W dwóch pustych rogach sali stoją dwa stoły, koło których zwykle gromadzą się deputowani. Szklanny sufit, który wieczorem rozjaśnić się może rzędem gazowych płomieni, nakrywa skromne lecz gustowne dekoracye i trofea o narodowych barwach. System ogrzewania i wentylacyi doskonale jest urządzony, zapomocą pomp ssących i tłoczących.

Co zastanawia na pierwszy rzut oka w parlamencie niemieckim, to ton poufality wzajemnych stosunków, jaki tam panuje. Mówca przemawia zazwyczaj z swego miejsca i nie sili się wcale na krasomówcze efekta; nie jest to w niemieckiej naturze i język nie nadaje się do tego. Mówca dąży prosto do celu, jakby się znajdował na radzie municypalnej lub zebraniu akcyonaryuszów jakiego przedsiębiorstwa; wyraża się jasno i zwięźle, że tak powiem, językiem handlowym. W ogóle mało kto troszczy się o to, co deputowany mówi; nikt mu nie przyklaskuje, ale też i rzadko kiedy kto stawia opozycyją; poddanie się bierne nieuniknionemu złemu lub obojętność pogodna umysłu, oto cechy charakterystyczne tych dobroduszných twarzy. Każdy ma swój pulpit, zajada swoje butersznity, skrapiając je obficie piwem; przegląda swoje korespondencyą, gawędzi z sąsiadem lub drzemie snem sprawiedliwego.

Jeden tylko sędziwy marszałek Moltke, asystujący pilnie każdemu posiedzeniu, daje przykład baczności i uwagi. Dodać należy, iż jest tak głuchym, że wotował za trzechleciem wojskowem, on, twórca i wnioskodawca siedmioletnia. Nazajutrz, pelen grozy i przerażenia, musiał sprostować swoje pomyłkę.

Wywoływanie nazwisk, zwyczajem zapożyczonym od konwencyi francuzkiej, jest tylko wyjątkowo używaném przy zbieraniu głosów; w ogóle deputaci parlamentu niemieckiego oraz Izby głosują przez rozdział, t. j. opuszczając salę przez lewe lub prawe wejście, stosownie do tego, czy oświadczają się za lub przeciw wnioskowi. Sekretarze, po obu stronach znaczą nazwiska, następnie porównywały listy i niezwłocznie ogłaszają rezultat. Sposób ten wotowania, bardzo szybki, przedstawia tę korzyść, że zmusza deputatów do osobistego wystąpienia. W ludowém narzeczu berlińskim nazywają to: *Hummelsprung*, *słokiem baranin*, bo deputaci tłoczą się przy drzwiach coś naksztalt owiec Panurga.

Główną postacią Reichstagu, obok marszałka Moltke, jest, rozumie się, ks. Bismark. Gdy asystuje posiedzeniom, wchodzi zawsze przez drzwi prywatnego swego gabinetu, w pośrodku dwóch szeregów woźnych—i zasiada w pierwszym rzędzie, na balkonie przeznaczonym dla członków rady związkowej. Usiadłszy na miejscu, zwykle dla zabicia czasu przegląda papiery; przynoszą mu jedną po drugiej zamknięte teki, które otwiera małym kluczykiem, wyjmując z nich papiery i przerzuca je nie dbale. Podczas tej manipulacyi, panie zachwycają się ręką kanclerską, białą i starannie pielęgnowaną. Postać jego ciężka i otyła, pod białym kirasyerskim mundurem, łysa głowa ozdobiona trzema historycznymi włosami, krzaczyste brwi i gęste wasy—wszystko to cheiwie i szczegółowo rozpatrywaném jest przez lornetki. Od czasu do czasu zatrzymuje się w robocie, aby publicznie oczyścić sobie paznogie, lub odpowiedzieć jedném słowem na zapytanie którego z sekretarzy.

Publiczność zasiadająca na trybunie lubi patrzeć na kanclerza, gdy mówca partyi opozycyjnej zabiera głos i drażni jego przekonania. Wtedy kanclerz prostuje się, szybko podnosi głowę, ręce krzyżuje na kolanie, błędnie i czerwienienie naprzemian, sapie głośno, wstrzymując się z całej siły, aby nie wybuchnąć. Zaledwie tamten skończył, ten podnosi się z miejsca i ruchem ręki daje znak, iż chce mówić.

Kanclerz żelazny jest, jak wiadomo, nie tegim mówcą. Głos jego dźwięczniejszym jest niżby się tego po atletycznej budowie ciała spodziewać można, ale brzmienie ma jednostajne i przeciągłe. Mowy kanclerza nie odznaczają się oratorstwem ale bogate są w treść, częstokroć niemal tragiczną, obfitują w zuchwałę argumenta, kryjące się pod prostotą formy przechodzącą nieraz w rubasność. Mówiąc, przestępuje z nogi na nogę, pociąga wasy, dobiera wyrazów, przypatruje się swoim paznogciom, lub trzyma wzrok utkwiony w koniec ołówka. Waha się, podejmuje wół przerwany frazes, prostuje wyrażenia, aż w końcu formuluje myśl jasną i zwięźłą. Zwykle po wielu dopiero wysiłkach, wyrzuca frazes tak jedyny i treściwy, że myśl cała koncentruje się w jedném słowie lub obrazie i po-

(*) Sadok Barącz. Pamiętnik, s. 100



CHCESZ SŁUŻYĆ BOGU, CZY MAMONIE?

Obraz F. W. W. Tophama, nagrodzony wielkim medalem na wystawie w londyńskiej Akademii królewskiej.